

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 28 (1495)

9 LIPCA 1989 R.

CENA 50 ZŁ

W NUMERZE:

„Miejcie sól w sobie i żyćcie ze sobą w pokoju” ● Apostosłowie Słowian ● Od kiedy zaczyna się człowiek? ● Dokąd idziesz, Ewo? ● Bez Ostatniego Rozdziału ● Porady



K. Murillo: Madonna z Dzieciątkiem

LEKCJA

z Listu
św. Pawła Apostoła
do Rzymian (8,12-17)

Bracia: Nie ciała dłużnikami jesteśmy, abyśmy według ciała żyć mieli. Jeśli bowiem według ciała żyć będziecie, pomrzecie, ale jeśli duchem sprawy ciała umartwiecie, żyć będziecie. Którychkolwiek bowiem ożywia Duch Boży, ci są synami Bożymi. Bo nie otrzymaliście ducha przybrania za synów i w duchu tym wolamy: Abba (Ojciec)! A sam Duch daje świadectwo duchowi naszemu, żeśmy synami Bożymi. A jeśli synami, to i dziedzicami Bożymi, a współdziedzicami Chrystusa.

EWANGELIA

według
św. Łukasza (16,1-9)

Onego czasu: Rzekł Jezus uczniom swoim tę przypowieść: Był człowiek pewien bogaty, który miał włodarza, a tego zniesławiono przed nim, jakoby trwonił dobra jego. I przywoławszy go, rzekł mu: Cóż to słyszę o Tobie? Zдай sprawę z włodarstwa twego, już bowiem nie będziesz mógł włodarzyć. I mówił włodarz do siebie: Cóż ja pocznę, gdy Pan mój odejmie mi włodarstwo? Kopać nie mogę, zebrać się wstydę. Wiem co uczynię, abym, gdy będę złożony z włodarstwa, przyjęli mię do domów swoich. Zwoławszy tedy z osobna dłużników Pana swego, powiedział pierwszemu: Ile jesteś winien Panu memu? A on rzekł: Sto barył oliwy. I powiedział doń: Weź zapis swój i siądź natychmiast, a napisz pięćdziesiąt. Potem rzekł do drugiego: A ty ileś winien? A on odpowiedział: Sto korców pszenicy. I rzekł mu: weź zapis swój, a napisz osiemdziesiąt. I pochwalił Pan przewrotnego włodarza, że roztropnie uczynił. Albowiem synowie tego świata rozropniejsi są wśród podobnych sobie niż synowie światłości. Ja wam powiadam: czyńcie sobie przyjaciół z mamony niesprawiedliwości, aby gdy pomrzecie, przyjęto was do wiecznych przybytków.

Jezus Chrystus, który pragnął zbawienia ludzkości, mówił prawdę nie oglądając się na osobę ludzką, był cichy i pokornego serca, często wybierał poniżenie i wzdargę. „Wy wszyscy zgorszycie się ze mnie tej nocy” — mówił do uczniów przed udaniem się na mękę. „Jest głupstwem dla pogan i zgorszeniem dla Żydów” — stwierdza o ukrzyżowanym Zbawicielu Apostoł Paweł. Tego typu zgorszeń nie wolno również nam unikać. One są solą, która chroni naszego ducha przed pychą. Czego więc mamy się lękać, przed czym się bronić? Co jest rzeczywistym zgorszeniem? Nim spróbujemy odpowiedzieć na te pytania, przypomnijmy stanowczą katechezę Chrystusa: „A temu, kto zgorszyłby jednego z tych małych, którzy we mnie wierzą, lepiej by było, żeby mu przywiązano kamień młyński do szyi i wrzucono w morze. Jeśli twoja ręka gorszy cię, odetnij ją. Lepiej ci przecież wejść do żywota bez ręki, aniżeli mając obie ręce iść do piekła w ogień, który nie gaśnie. I jeśli twoja noga doprowadza cię do złego, odetnij

umrze i ogień kary nie gaśnie. W podobnej sytuacji znajdują się ci, którzy dali się sprowadzić na złe drogi, ulegając kusicielom i gorszycielom. Biada nam, jeśli sami sobie zgotujemy tak miżerny los, lekceważąc grzech i ulegając podnieciom do złego. Rozkaz, by raczej się okaleczyć fizycznie niż upaść moralnie, to wstrząsające żądanie, mocno przemawiające do wyobraźni każdego z nas. Byli ludzie, którzy kazali słowa te rozumieć dosłownie i gotowi byli stosować je bardzo skwapliwie w stosunku do innych ludzi, uznanych za gorszycieli, choć Chrystus wyraźnie mówi o tym, że mamy się pozbyć własnej ręki, nogi czy oka.

Jeszcze dziś pojawia się prawo bezwzględnego odwetu. Oto przywódca duchowy irańskich szyitów polecił zastosować najwyższy wymiar kary wobec gorszyciela — Hindusa Rusche — za to, że wydał obrażającą uczucia muzułmanów książkę krytykującą islam. Imam Chomeini wyznaczył nawet nagrodę dla kata. Na szczęście, dotąd wyroku nie wykonano. Ten wyrok to akt zemsty, a nie próba zapobieżenia zgorszeniu.

Dla nas, chrześcijan, istnieje jedno prawo postępowania wobec wszystkich bez wyjątku ludzi, prawo wsparte o

„Miejcie sól w sobie i żyjcie ze sobą w pokoju”

ją. Lepiej ci wejść do życia kulawym, niż mając obie nogi być wrzuconym do piekła. I jeśli twoje oko sprowadza cię do złego, wylup je. Lepiej ci jednookim wejść do Królestwa niebieskiego, niż z dwójgiem oczu być wrzuconym do piekła, gdzie robak ich nie umiera ani ogień nie gaśnie. Bo wszyscy będą ogniem posoleni. Dobra jest sól, ale gdy sól przestanie być solą, czymże ją zasolicie? Miejcie sól w sobie i żyjcie ze sobą w pokoju” (Mk 9,42-50).

Ostrzeżenia Chrystusa brzmią bardzo twardo. Zbawiciel nie zostawia najmniejszej wątpliwości co do losu gorszycieli. Za gorszenie niewinnych, których w tej katechezie nazywa małymi — co należy rozumieć dosłownie, gdy chodzi o dzieci, ale także w przenośni, bo Pan Jezus od swoich uczniów domaga się, by zachowali dziecięcą czystość serca — czeka gorszycieli piekło, gdzie robak ich sumienia nigdy nie

miłość i przebaczenie: „Nikomu złem za zło nie oddawajcie... miłujcie nieprzyjaciół waszych, dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą”. Z całą jednak stanowczością prawo to zabrania naśladowania ich w złym postępowaniu: „tego, co robią, nie powtarzajcie... nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj”. Jeśli jednak zauważymy, że ulegamy złym wpływom, to choćby pokusa była tak cenna jak oko, musimy zerwać z nią, oddalić lub uciec, bo „coż pomoże człowiekowi, choćby cały świat zyskał, a na duszy poniósł szkodę?”

Co więc powinniśmy nazwać zgorszeniem? Rzecz, słowo, czyn lub postawę, która bliźniego lub nas samych ciągnie do popełnienia grzechu. Nie wolno nikomu dawać powodu do tego, by nabrał chęci grzeszyć. Nie wolno również siebie narażać na niebezpieczeństwo upadku, zwłaszcza w grzech śmiertelny. Sól chroni jado przed zepsuciem i dodaje mu smaku. Sólmy nasze postępowanie solą rozumu i łaski. Posłuszeństwo dla głosu sumienia i nakazów Boga pozwoli nam żyć w pokoju i zgodzie z samym sobą i z naszymi braćmi.

Ks. A.B.

Apostołowie Słowian

Corocznie, w dniu 7 lipca obchodzi Kościół Polskokatolicki uroczystość świętych Cyryla i Metodego — apostołów Słowian (ich imiona chrzestne: Konstantyn i Michał). Znani są oni również, jako tzw. „bracia soluńscy”, który to przydomek został im nadany od miejsca urodzenia. W Kościele wschodnim wspomnienie ich przypada 11 maja.

Niezaprzeczalne są ich wielkie zasługi na polu rozpowszechniania chrześcijaństwa obrządku słowiańskiego; w tym również na ziemiach polskich. Toteż — w związku z minioną uroczystością tych Świętych — uważam za wskazane, przybliżyć nieco naszym Czytelnikom ich życie i dzieło.

Rodzinnym miastem apostołów Słowian był Soluń — stolica Macedonii (grecka Tesalonika; współczesne Saloniki). Miasto to stanowiło zawsze ważny ośrodek życia gospodarczego, kulturalnego i politycznego. Tak było również w czasach, kiedy apostoł Paweł głosił tutaj ewangelię Chrystusową. A ponieważ nawrócił wielu Greków, istniała tutaj kwitnąca gmina chrześcijańska, do której Apostoł wystosował dwa listy. Wynika z nich, że tutejsi chrześcijanie odznaczali się żywą wiarą, miłością i ofiarnością dla sprawy Chrystusowej. Stali się nawet „wzorem dla wszystkich wierzących w Macedonii i w Achai. Od was (tj. za waszym pośrednictwem) bowiem rozeszło się Słowo Pańskie nie tylko w Macedonii i Achai, ale też wiara wasza w Boga rozkrzewiła się na każdym miejscu” (1 Tes 1.7-8).

W VI wieku w Macedonii, a zwłaszcza w urodzajnej okolicy miasta Soluń, osiedlili się Słowianie. Napadali oni często na to miasto, chcąc zniszczyć tam panowanie bizantyjskie i założyć w Macedonii własne państwo. Nie udało im się jednak narzucić tej prowincji zwierzchnictwa politycznego. Opanowali jednak Soluń i jego okolice pod względem gospodarczym. Toteż zarówno w mieście, jak i w całej południowej Macedonii język słowiański rozszerzył się tak dalece, że nawet Grecy mieszczenie musieli go znać. Warto może przypomnieć tutaj, że późniejsi apostołowie Słowian byli narodowości greckiej. Obcując jednak na co dzień ze Słowianami, z konieczności musieli dobrze nauczyć się ich języka.

Cyryl-Konstanty, zwany również Filozofem, urodził się w Soluniu w 826 lub 828 r. Początkowo kształcił się w rodzinnym mieście. Swoimi zdolnościami rychło zwrócił na siebie uwagę. Skierowano go więc na dalsze studia do Konstantynopola. Kształcił się tutaj pod kierunkiem Focjusza, poznając klasyków starożytnych oraz teologię



Awers medalu wybitego przez Mennicę Paryską. Przedstawia on Cyryla i Metodego oraz daty ich życia.

zawartą w pismach Ojców Kościoła. Około roku 847 przyjął święcenia kapłańskie i był bibliotekarzem przy świątyni Świętej Mądrości (Hagia Sophia); równocześnie był doradcą i sekretarzem patriarchy Ignacego. Przez kilka miesięcy przebywał w klasztorze. Następnie uczył filozofii w aka-



Pomnik Cyryla i Metodego w Sofii

demii cesarskiej; stąd jego przydomek — Konstanty Filozof.

Metody był starszym bratem Cyryla-Konstantego. Podobnie jak on urodził się w Soluniu między rokiem 815 a 820. Zdobyszy wykształcenie prawnicze, rychło wszedł na drogę kariery urzędniczej. Został nawet zarządcą jakiejś prowincji słowiańskiej w cesarstwie bizantyjskim. Około roku 840 wstąpił do klasztoru w Bitynii. Wtedy też zmienił imię chrzestne Michał, na zakonne — Metody. Został nawet przełożonym tego klasztoru.

Około roku 860 — na polecenie cesarza — udał się Cyryl wraz z Metodem na misję do Chazarów, zamieszkujących północne wybrzeże Morza Czarnego. Odtąd pracowali już razem.

Wkrótce potem (prawdopodobnie w roku 862), przybyło do Konstantynopola poselstwo księcia wielkomorawskiego Rościsława z prośbą o przysłanie misjonarzy znających język słowiański. Chodziło mu bowiem o niezależenie się od wpływów niemieckich. Do misji tej wyznaczono Cyryla i Metodego, doskonale zaznajomionych z językiem słowiańskim, używanym przez południowo-macedońskich Słowian w II połowie IX wieku. Zanim jednak rozpoczęli działalność misyjną na Morawach, przełożyli na język słowiański teksty liturgiczne oraz niektóre księgi biblijne (Psalmy, Ewangelie, Dzieje Apostolskie, Listy św. Pawła oraz pozostałe Listy apostołskie). Teksty wspomnianych ksiąg zapisali „bracia soluńscy” stworzonym przez Cyryla alfabetem, zwanym „glagolicą” (od „glagol” = słowo, litera). W ten sposób powstał — używany do dziś w liturgii wschodniej — język cerkiewno-słowiański. Jednak na Morawach (po zwycięstwie Ludwika Niemieckiego nad Rościsławem) doszło do poważnych konfliktów z klerem bawarskim. Wobec powyższego w roku 866 Cyryl i Metody przeszli do Panonii (dzisiejsze Węgry), gdzie książe Kocel umożliwił im prowadzenie pracy misyjnej. Po krótkim tutaj pobycie (trwał on zaledwie pół roku) wraz ze swoimi uczniami wybrali się do stolicy patriarchatu — Akwilei, gdzie spodziewali się uzyskać dla nich święcenia kapłańskie. Od tego zależało bowiem powstanie w Panonii organizacji kościelnej. Po drodze zatrzymali się w Wenecji, gdzie Cyryl wobec obradującego synodu lokalnego wystąpił w obronie wprowadzanej liturgii słowiańskiej. Sprawa stała się głośna.

Wówczas to obu braci wezwał do siebie Mikołaj I. Zanim jednak dotarli do Rzymu, papież ten już nie żył. Jego następcą, Hadrian II przyjął ich bardzo życzliwie. Pobłogosławił słowiańską misję Cyryla i Metodego, zaakceptował stosowanie w liturgii języka słowiańskiego oraz zatwierdził przedstawione mu księgi liturgiczne. Co więcej. Udzielił święceń kapłańskich Metodemu oraz polecił trzech jego

ciąg dalszy na str. 4

APEL z SIERADZA

O początkach działalności i rozwoju polskiego katolicyzmu na ziemi sieradzkiej dowiadujemy się przeglądając stare roczniki tygodnika „Rodzina”. W numerze 17, rocznika 1965, zamieszczony został artykuł pt. „Misja polskokatolicka w Sieradzu”. Wynika z niego, że akcją organizacyjno-misyjną na terenie dawnego powiatu sieradzkiego prowadził ówczesny dziekan dekanatu łódzkiego, ks. Teodor Elerowski, kapłan gorliwy i oddany Bożej sprawie, zmarły w 1984 r. (w roku bieżącym przypada właśnie piąta rocznica jego śmierci). W wyniku przeprowadzonej misji już w 1964 r. ówczesny zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego, ks. bp Maksymilian Rode, erygował w Sieradzu parafię polskokatolicką pw. „Zbawiciela — Chrystusa Najwyższego Arcykapłana”. Czytamy o tym w innym numerze „Rodziny” z 2.01.1966 r., w artykule ks. Teodora Elerowskiego: „Nowa parafia w Sieradzu”. Ale zanim nastąpiło oficjalne otwarcie parafii sieradzkiej, trzeba było dużo starań i pracy, by to dzieło Boże mogło należycie zaowocować.

Prowadząc pracę misyjną na tym terenie, ks. dziekan Teodor Elerowski zorganizował również parafię w Mogilnie-Rossoszycy (na terenie Sieradzkiego) w roku 1963, którą także erygował ks. bp Maksymilian Rode, dokonując uroczystego poświęcenia powstałej tam kaplicy („Rodzina” Nr 40, z 3.10.1963 r.).

W Sieradzu natomiast, po przeprowadzeniu remontu byłej ewangelickiej świątyni, nad którym czuwał ks. Wiktor Wysoczański, pierwszy proboszcz parafii sieradzkiej, aktualny biskup Kościoła Polskokatolickiego, uroczystego poświęcenia kościoła i oficjalnego otwarcia parafii — dokonał ówczesny Wikariusz Generalny Diecezji Warszawskiej ks. inf. Tadeusz Majewski, obecny zwierzchnik naszego Kościoła. Była to pamiętna niedziela, 21 lipca 1965 roku. W przyszłym roku przypadnie więc 35 rocznica tego uroczystego aktu.

Kolejno zmieniający się proboszczowie dyktowali zmienne losy parafii sieradzkiej. W aktualnym stanie stanowi ona raczej symbol polskiego katolicyzmu na tym terenie, akcentując jednak, że Kościół Polskokatolicki także i tutaj żyje i jest obecny.

W roku 1983 parafię objął ks. dziekan Eugeniusz Elerowski, który przede wszystkim zajął się remontem mocno zniszczonej świątyni (prace te kontynuował w latach 1986—88 ks. adm. Antoni Strzelczyk). Dzięki pomocy przede wszystkim ze strony konserwatora wojewódzkiego oraz ze strony władz Kościoła — świątynia nasza w Sieradzu została całkowicie odrestaurowana wraz z ogrodzeniem przyległego placu kościelnego.

Pomimo tego, jak również mimo faktu, iż w kościele naszym w Sieradzu są systematycznie odprawiane nabożeństwa, szczególnie świąteczno-niedzielne (o godz. 11.00), że świątynia przez cały rok codziennie, od rana do wieczora, jest udostępniona wszystkim przechodniom, z przykrością trzeba stwierdzić, że zainteresowanie społeczeństwa sieradzkiego Kościołem Polskokatolickim jest niewielkie. Być może nie wszyscy jeszcze wiedzą o tym, że w do niedawna zaniedbanym, a obecnie odnowionym kościele, przy ul. Kościuszki 19, żyje i działa parafia polskokatolicka, o czym wyraźnie głosi napis umieszczony przed kościołem. Dodatkowo więc, za pośrednictwem Tygodnika Katolickiego „Rodzina”, który jest w Sieradzu dostępny i czytany, pragniemy przekazać tę informację, zapraszając do naszej świątyni wszystkich ludzi dobrej woli, a przede wszystkim tych, którzy czują się Polakami i Katolikami. Mamy nadzieję, że apel nasz spotka się z odpowiednim zrozumieniem i poparciem dla naszej świętej sprawy.

**DUSZPASTERSTWO
PARAFII POLSKOKATOLICKIEJ
W SIERADZU**

Apostołowie Słowian

dokończenie ze str. 3

uczniów wyświęcić na kapłanów, a dwóch na lektorów. Tak więc, — „pierwszy etap kampanii w obronie liturgii słowiańskiej — jak swego czasu pisał światowej sławy sławista, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Lehr-Splawiński — został wygrany”. Dalsze prace musiał prowadzić już sam Metody. Konstanty bowiem, który w Rzymie przywdział habit zakonny i przyjął imię Cyryl, zapadł śmiertelnie na zdrowiu. Następnie napominając brata, by nie przerywał rozpoczętego dzieła, zmarł w dniu 14 lutego 869 r. Pochowano go w świątyni św. Klemensa.

Po śmierci brata powrócił Metody do Panonii, już jako legat papieski a więc zapewne z nowymi uprawnieniami, co było dalszym jego sukcesem na drodze szerzenia liturgii słowiańskiej. Około roku 870 Metody ponownie przybył do Rzymu, gdzie Hadrian II udzielił mu sakry biskupiej oraz ustanowił metropolitą restrytuowanej metropolii w Sirmium (Państwo Wielkomorawskie). Przyłączył też do niej Pa-

nonię, przynależną do tej pory do Pasawy i Salzburga. A ponieważ arcybiskup Adalwin z Salzburga i jego sufragani uważali te tereny za podległe swej jurysdykcji, doprowadziło to do zaostrzenia konfliktu z biskupami niemieckimi. Doszło do tego, że Metody — sprowadzony na synod do Ratzbony — został ujęty i wwięziony, prawdopodobnie w klasztorze w Ellwangem w Szwabii.

Zwolniony został dopiero w roku 873, dzięki interwencji papieża Jana VIII. Jednak Metody musiał ograniczyć stosowanie liturgii słowiańskiej. Wezwany został nawet do Rzymu, dla wyjaśnienia oskarżeń wysuniętych przeciwko niemu przez księcia wielkomorawskiego Świętopełka i biskupów niemieckich. Nie sprzyjały mu też stosunki, jakie wówczas panowały na Morawach. Książę Świętopełk nie był dla niego tak życzliwy, jak poprzednicy i ze względów politycznych skłaniał się ku duchowieństwu niemieckiemu. Jednak papież Jan VIII ponownie poparł stosowane przez niego formy chrystianizacji Słowian. Doszło nawet do tego,

że w roku 880 potwierdził dawną władzę i przywileje nadane Metodemu przez Hadriana II; potwierdził jego prawa arcybiskupie i urząd legata papieskiego dla ewangelizacji Słowian oraz wyraził zgodę na korzystanie w liturgii z języka słowiańskiego. Jednak podczas uroczystej celebracji ewangelii odczytywać należało najpierw w języku łacińskim, zaś dla księcia i jego dworu liturgię sprawować należało po łacinie. Utworzono też sufraganię w Nitrze. Jednak jej zwierzchnikiem — uzależnionym wprowadzie od Metodiego — został przywódca duchowieństwa niemieckiego, biskup Wiching. Tak więc zwycięstwo Metodiego nie było pełne. I tym razem wpływy rzymsko-niemieckie okazały się silniejsze.

Jednak mimo dalszej opozycji duchowieństwa niemieckiego i nowych, stosowanych przez nie intryg, prowadził Metody owocną działalność nawet poza granicami metropolii. Tak więc doprowadził on do chrztu księcia czeskiego Borzywoja i jego żonę Ludmiłę. Dotarł nawet na południowe ziemie polskie; do państwa Wiślan. O istnieniu na tych terenach chrześcijaństwa obrządku słowiańskiego, prawie 100 lat przed chrztem Mieszka I, świadczą odkrycia archeologiczne dokonane w Wiślicy oraz w Krakowie (na Wawelu i Salwatorze). Świadczą one, że już przed końcem IX wieku istniały tutaj budowlę sakralne, wzniesione w stylu bizantyjskim.

Pod koniec swojego życia odbył jeszcze Metody wyprawę mi-

syjną do Słowian bałkańskich. Przy okazji (w roku 881 lub 882) udał się również do Konstantynopola, gdzie spotkał się — tak ze strony cesarza, jak i patriarchy — z uznaniem swojej działalności. Po powrocie na Morawy zajął się tłumaczeniem na język słowiański dalszych ksiąg biblijnych, dzieł niektórych Ojców Kościoła oraz bizantyjskiego zbioru prawa kościelnego i świeckiego. Przed śmiercią wyznaczył swoim następcą na stolicy arcybiskupiej Morawianina, Gorazda. Zmarł 6 kwietnia 885 r. Nie wiemy jednak gdzie został pochowany. Historycy przypuszczają, że miejscem spoczynku jego doczesnych szczątków mogą być: Nitra, Devín lub Velehrad. Jednak do czasu przeprowadzenia badań archeologicznych, rozwiązanie tego problemu jest raczej niemożliwe.

Na zakończenie warto może zwrócić uwagę na fakt, że wpływ działalności Metodiego zaznaczyły się bardziej wśród Słowian południowych. Tam też pamięć Metodiego pozostaje zawsze żywa, w przeciwieństwie do chrześcijaństwa wśród Słowian obrządku rzymskiego, który — ze znanych powodów — nie jest tym raczej zainteresowany.

Ks. JAN KUCZEK

EKUMENIA — co to jest?

- Ekumenia to proces; struktury ekumeniczne, jak Światowa Rada Kościołów i krajowe rady ekumeniczne mają charakter służebny i nie są celem same dla siebie.
- Jedność ekumeniczna chrześcijan wskazuje na jedność rodzaju ludzkiego jako warunek powszechnego pokoju.
- W służbie Kościoła, ekumenii, pokoju i ludzkości posługujemy się słowem.
- Spotkanie ekumeniczne z Papieżem Janem Pawłem II w dniu 17 czerwca 1983 r.

Co wiesz na temat ekumenii?

W poznaniu tego zagadnienia cenną pomocą służyć Ci może, drogi Czytelniku, książka ks. prof. Witolda Benedyktowicza — profesora Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Autor, jako tzw. visiting professor, wygłaszał wykłady w zagranicznych i krajowych uczelniach, m.in. University of Illinois, Emery University, Goshen College, Elkhart Monnonite Theological Seminary, Princeton Theological Seminary, Uniwersytet w Bonn, Uniwersytet Jagielloński i in.

Tytuł książki brzmi: „EKUMENIA—POKÓJ—POJEDNANIE”
Książka ta ukazała się nakładem naszego Wydawnictwa. Objętość książki wynosi 235 stron. Cena zł 650,—

Prosimy o wypełnienie zamówienia i przesłanie na adres:

Administracja Instytutu Wydawniczego
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego
ul. Czardasza 16/18
02-169 Warszawa

Wysyłka nastąpi za zaliczeniem pocztowym.

WYPELNIJ CZYTELNI!	Zamawiam książkę pt: „Ekumenia-Pokój-Pojednanie”
	ilość egzemplarzy
	Imię i nazwisko zamawiającego
	Adres

Kalendarz katolicki na rok 1989

Jak co roku, nasze Wydawnictwo oferuje Czytelnikom nowy Kalendarz Katolicki, będący znakomitą lekturą dla każdego, kto interesuje się religią, ekumenią, historią i literaturą piękną. Każdy znajdzie w nim coś dla siebie, także i nasi najmłodsi Czytelnicy.

Piękna, barwna okładka o tematyce religijnej stanowi dodatkową wizualną atrakcję Kalendarza na rok 1989. Objętość książki wynosi 250 stron, cena zł 400.

Prosimy o wypełnienie zamówienia i przesłanie na adres:

Administracja Instytutu Wydawniczego
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego
ul. Czardasza 18
02-168 Warszawa

Wysyłka nastąpi za zaliczeniem pocztowym.

WYPELNIJ CZYTELNI!!!	Z A M Ó W I E N I E
	(Imię i nazwisko zamawiającego)
	(adres: ulica, nr domu, nr mieszkania, miasto, kod, województwo, wieś)
	Zamawiam egz. Kalendarza Katolickiego na rok 1989. Wysyłka nastąpi za zaliczeniem pocztowym.
	(podpis zamawiającego)

W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE

KRAJ

ŚWIAT

Na ekrany kin wchodzi pozbawiony dotąd możliwości rozpowszechniania film Ryszarda Bugajskiego „Przestępstwo”.

W maju w Piławie Górnej (woj. wałbrzyskie) doszło do masowego zatrucia chemicznego, któremu uległy dzieci i młodzież z miejscowej Szkoły Podstawowej nr 2 oraz Zasadniczej Szkoły Zawodowej przy Zakładach Przemysłu Odzieżowego „Boho”. Po kilku dniach zatrucie powtórzyło się. Życiu kilkudziesięciu dzieci nie zagraża niebezpieczeństwo, wszystkie były hospitalizowane. Wojewoda wałbrzyski powołał specjalny zespół do wyjaśnienia sprawy i zabezpieczenia zagrożonego terenu. Szkoła Podstawowa nr 2 została czasowo zamknięta.

Zapewne jeszcze w tym roku powstaną pierwsze, promocyjne domy firmy RFN „Kampa”, która wspólnie z przedsiębiorstwem zagranicznym „Cort” zamierza budować domy jednorodzinne w Polsce. Budowa takiego domu ma trwać ok. 3 mies. Będą one budowane pod klucz, czyli z pełnym wyposażeniem, a koszt metra kwadratowego w początkowym okresie wynosić będzie ok. 300 dolarów. W następnym etapie, czyli po rozpoczęciu produkcji potrzebnych elementów w Polsce, przewiduje się również sprzedaż za złotówki.

Minister edukacji narodowej prof. Jacek Fisiak, przebywał ostatnio wraz z grupą ekspertów we Francji, gdzie przeprowadził rozmowy z ministrem oświaty i szkolnictwa wyższego, złożył wizytę w MSZ oraz odwiedził kilka uczelni i placówek naukowych. Celem tych spotkań było ustalenie możliwości dalszego rozszerzenia współpracy oświatowej i naukowej z Francją. Właściwa umowa ma być podpisana podczas wizyty prezydenta Miłkowskiego w Polsce. Strona francuska zadeklarowała chęć rozszerzenia współpracy.

Jak wiadomo, Sejm przyjął jednogłośnie ustawę o izbach lekarskich, czyli samorządzie zawodowym wyposażonym w liczne kompetencje. Do jego najważniejszych zadań należą: nadzór nad sprawowaniem pieczy nad należytym wykonywaniem zawodu, ustanawianie obowiązujących wszystkich lekarzy zasad etyki. Samorząd będzie także uprawniony do stwierdzania prawa do wykonywania zawodu. Przyznano mu także sądownictwo w sprawach związanych z odpowiedzialnością zawodową lekarzy.



PLL LOT — nareszcie nowocześnieją! Oto pierwszy polski BOEING 767-200 ER „Gniezno”, który zabiera 208 pasażerów i kilka ton frachtu

W stolicy Senegalu, Dakarze, odbył się trzeci z kolei, a pierwszy na lądzie afrykańskim, szczyt przywódców państw frankońskich. Obrady, koncentrujące się na kwestiach rozwoju gospodarczego, zadłużenia krajów rozwijających się oraz sprawie poważnego zagrożenia środowiska naturalnego, stały się dla prezydenta Francji François Mitterranda okazją do ogłoszenia anulowania przez Paryż długów (ponad 2,3 mld dol.) 35 najuboższych państw świata.

Bilans płatniczy Węgier zamknął się w 1988 roku deficytem w wysokości 592 mln dol., o 250 mln dol. niższym niż w roku 1987. Bilans handlowy wykazał natomiast nadwyżkę w wysokości 494 mln dol. Z powodu wzrostu stopy oprocentowania kredytów bieżące spłaty długów węgierskich wzrosły w ub. r. o 120 mln dol., do poziomu 1,05 mld.

W sofijskim Pałacu Kultury odbyła się światowa wystawa filatelistyczna „Bulgaria '89”. Impreze, której towarzyszył 58 Kongres Międzynarodowej Federacji Filatelistycznej (FIP), odwiedziło wiele osób, które mogły podziwiać najpiękniejsze znaczki świata.

Rada Najwyższa Łotwy uchwaliła ustawę o językach. Postanowiono rozszerzyć zakres stosowania języka łotewskiego jako języka państwowego. Główne artykuły ustawy, zgodnie z życzeniami obywateli mówiących innymi językami, wejda w życie za trzy lata. Język rosyjski obok łotewskiego ma być jednym z głównych środków porozumienia się między narodowościami.

Pierwszy bankrut w ZSRR: państwowa fabryka łożysk w Swierdłowsku. W ub. r. 18 razy otrzymała pożyczki na wypłatę zarobków, odnotowała 1,5 mln rubli ponadplanowych strat, nie wyprodukowała 110 tys. zamówionych łożysk.

Roman Sosnowski, uczeń liceum im. Emilii Plater w Sosnowcu został zwycięzcą konkursu znajomości języka łotewskiego, zorganizowanego w rodzinnej miejscowości Cyclerona, Arpino.



Książka Alberta Goldmana pt. „The lives of John Lennon”, będąca kontrowersyjną biografią założyciela słynnej grupy rockowej, obala wiele mitów związanych z rodziną Lenonów. Yoko Ono zaprzeczyła wielu zarzutom. Na zdjęciu — John Lennon i Yoko Ono.

W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE

W latach międzywojennych, gdy polski skrawek wybrzeża był bardzo krótki, a potrzeby „okna na świat” bardzo duże, oprócz miasta i portu w Gdyni wybudowano również port Władysławowo, u nasady półwyspu Helskiego, po stronie otwartego morza.

* *

Niestety, o ile Gdynia stała się prawdziwym oknem na świat i dobitną ilustracją wielkich możliwości polskich inżynierów i robotników okresu międzywojennego, o tyle decyzja o budowie portu we Władysławowie okazała się zupełnie chybiona. Miała zresztą już w latach 30. wielu zagorzałych przeciwników.

W jaki sposób port we Władysławowie może zagrażać — i zagraża — półwyspowi? Otóż okazuje się, że wysunięte w głąb morza falochrony portu powodują zatrzymywanie unoszonego falami rumowiska. Piasek, odrzucany z powrotem w morze, już nie wraca do brzegu. W ten sposób, przez ingerencję człowieka, wstrzymany został naturalny proces usypywania półwyspu.

Obecna sytuacja Helu jest alarmująca, a nawet wręcz tragiczna. Niewiele brakowało, aby i w tym roku, po raz kolejny, Hel podzielił się na kilka wysepek, a fale przelewały się przez resztki łądu aż do Zatoki Puckiej. Tegoroczne zimowe sztormy, o sile 10—11 stopni w skali Beauforta, zniszczyły brzeg na długości 20 km. Wicher zmył większość plaż, wyrwał z korzeniami kilkadziesiąt drzew. W Chałupach i Kuźnicach woda dochodziła prawie do chat rybackich. Gdyby nie wykonane wcześniej bardzo silne umocnienia żelbetowe, wioski zapewne nie przetrwałyby. Zniknęły całkowicie wydmy, które kiedyś ciągnęły się od Helu do Władysławowa. Dziś teren jest całkowicie płaski, bądź... go nie ma, tak, iż pociąg przejeżdża tuż obok stromego urwiska z wodą morską u podnóża. Naukowcy i pracownicy Urzędu Morskiego w Gdyni oceniają, że powstały przez lata niedobór piasku na dnie i brzegu od strony morza wynosi 8 mln. m. sześć, i ten stan pogarsza się.

Stali mieszkańcy półwyspu, przywykli przecież do kaprysów aury i morza, tym razem oceniają sytuację jako niezwykle groźną, boją się o domy i dobytek. Założyli Społeczny Komitet Obrony Helu, domagają się przyznania nadzwyczajnych środków finansowych i znalezienia rozwiązań technicznych zapewniających trwałość i ochronę brzegów północnych. Uważają dotychczasowe działania Urzędu Morskiego za wystarczające jedynie od strony Zatoki Puckiej, nie od otwartego morza, od głównego zagrożenia. Zarzucają władzom brak kon-

ciąg dalszy na str. 7

Z zagadnień dogmatyki katolickiej

Jestem chrześcijaninem

Kończymy dziś krótki cykl gawęd, poświęconych pierwszemu i najpotrzebniejszemu Sakramentowi. W tej ostatniej gawędzie o Chrzcie świętym postaramy się jakby podsumować przypomniane w naszym cyklu prawdy. Uczynimy to z nadzieją, że podsumowanie to pozwoli uchwycić najistotniejsze elementy teologiczne Sakramentu Narodzin do nowego życia, zapamiętać je tak dobrze, by miały rzeczywisty wpływ na nasze postępowanie. Z woli Chrystusa Chrzest święty jest jedyną bramą do zbawienia. Przez tę właśnie bramę wchodzi się równocześnie do Kościoła Bożego i otrzymuje prawo korzystania z kolejnych źródeł łask nadprzyrodzonych. „Kto uwierzy i ochrzci się, będzie zbawiony” — zapewnił Zbawiciel.

*

Każdy ochrzczony otrzymuje w Chrystusie nowe życie. Nie jest to przenośnia, czy zapowiedź. Jest to rzeczywistość. Prawda realna, chociaż z natury nadprzyrodzona i tajemnicza. Wszystko, co Chrystus wysłużył dla siebie i dla swoich braci przez mękę i zmartwychwstanie, a więc: odpuszczenie wszystkich grzechów i kar, przekreślenie wiecznej śmierci duszy i ciała, wlanie iskry życia bożego, upodobnienie człowieka do Chrystusa zmartwychwstałego, uwielbionego i szczęśliwego — to wszystko otrzymuje człowiek na Chrzcie świętym przez wodę i dzięki Duchowi Świętemu. Przez Chrzest zostajemy wszczępieni w Chrystusa, który umarł i zmartwychwstał. Przez Chrzest stajemy się częścią Jego mistycznego Ciała. Gdy św. Paweł wołał: „Żyję ja, już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus” — wyrażał sakramentalną prawdę o stanie swojej duszy, spowodowanym przez Chrzest święty.

Apostoł Paweł naucza o Jezusie uwielbionym w nas i o ochrzczonych żyjących Chrystusem. Naucza, jak należy rozumieć Sakrament wszczępienia w nas życia bożego i nasze nowe narodziny przez Chrzest w Chrystusie. Wspaniałe wykład teologii Chrztu znajdujemy w Liście do Rzymian i w szeregu innych listów Apostoła Pawła. Rzymianom i nam tak pisze Apostoł narodów: „Czy nie wiecie, że wszyscy, którzy ochrzczeni jesteście



w Chrystusie Jezusie, w śmierci Jego ochrzczeni jesteście? Przez Chrzest bowiem zostaliśmy razem z nią pogrzebani w śmierć, aby jako Chrystus zmartwychwstał przez chwałę Ojca, tak i my, byśmy w nowości życia chodzili. Bo jeśli zostaliśmy wszczępieni w podobieństwo śmierci Jego, to również w zmartwychwstanie będziemy. Wiedząc, że stary w nas człowiek został współukrzyżowany, aby zniszczone było ciało grzechu, oraz abyśmy nadal nie służyli grzechowi... Jeśli jednak z Chrystusem umarliśmy, wierzymy, że również z Chrystusem żyć będziemy, wiedząc, że Chrystus powstawszy z martwych więcej już nad nim nie zapanuje. Bo to, że umarł dla grzechu, raz umarł, a że żyje, żyje w Bogu. Tak i wy rozumieście, żeście umarli dla grzechu a żyjecie dla Boga w Chrystusie Jezusie, Panu naszym” (List do Rzymian 6,3-11).

Jednocześnie Chrzest święty, zanurzając nas w śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa, wciela nas w Kościół, który jest Jego Ciałem. Przyjmując Chrzest święty z rąk kapłana, dzięki poręczeniu za nas dwóch świadków — rodziców chrzestnych, stajemy się jedno z Chrystusem i Kościołem. Mamy odtąd jedno ciało i jednego Ducha. Jest to nadprzyrodzona rzeczywistość. Św. Paweł w Liście do Efezjan uczy: „Sta-

rajcie się zachować jedność ducha, złączeni węzłem pokoju. Jedno ciało i jeden duch, jako wezwani jesteście do jednej nadziei wezwania waszego. Jeden Pan, jedna wiara, jeden Chrzest”. Nieważne, do jakiej Gałęzi Kościelnej zostaniemy wszczępieni. We wszystkich bowiem żywych Gałęziach Chrystusowej społeczności żyje ten sam Duch, pulsuje to samo życie boże i rozwija to samo uwielbione ciało. Ale Kościół, chociaż jest jednym wielkim żywym organizmem, nie niszczy odrębności. Składa się z wielu konarów wyznaniowych, które tworzą bogactwo jego Korony. Poszczególni członkowie Kościoła nie zatracają swojej tożsamości, chociaż żyją w Chrystusie i z Chrystusem. Z racji tkwienia w Bożym Drzewie Kościoła Chrystusowego, każdemu ochrzczonemu przysługują nowe, takie samo imię: „chrześcijanin” — czyli wyznawca Chrystusa. Otrzymuje też przy Chrzcie świętym każdy człowiek swoje własne imię. Ewo, Katarzyna, Adamie, Ignacy — mówi kapłan w sakramentalnym obrzędzie — ja ciebie chrzczę w Imię Ojca, i Syna i Ducha Świętego. Powyższe słowa i woda chrzcielna — czyli spełnienie woli Chrystusa — sprawia, że odtąd na wieki Bóg tym właśnie imieniem będzie nas przywoływał do siebie. Każdy ochrzczony jest święty i może zyskać pomoc innych świętych w ramach świętych obcowania. Starajmy się, by uczciwym życiem ozdabiać własne imię dziecka bożego i głosić chwałę Chrystusa.

Ks. A. BIELEC

KRONIKA ŻAŁOBNA

„Kto... wierzy we mnie, nie umrze na wieki...”

W jednym ze swoich listów apostoł Paweł przypomina, że „postanowione jest ludziom raz umrzeć” (Hbr 9,27). Spełnia się w ten sposób wyrok Boży ogłoszony człowiekowi u zarania dziejów: „W pocie oblicza twego będziesz jadł chleb, aż wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty; bo prochem jesteś i w proch się obrócisz” (Rdz 3,19). I od tej pory stała się śmierć powszechnym prawem.

Jest więc prawdą bezsprzeczną, że wszyscy pomrzemy. Toczy się tylko spór o to, co będzie po śmierci. Odpowiedź na to starają się dać filozofowie, poeci i artyści. W tej zapewne intencji szwajcarski artysta Böcklin namalował obraz, zatytułowany „Wyspa umarłych”, teńący najgłębszym ludzkim smutkiem. Bo wiem dzieło to, pomimo wielkiej wartości artystycznej, jest jakby niedokończone — czegoś mu brak. Cóż zatem ono przedstawia?

Oto z głębin morskich wyrusza się skała, jak nieunikniony los. Rośnie na niej, tylko kilka cmentarnych cyprysów. W ścianie skały widać ponure pieczary, siedziby śmierci. Na niebie czarne chmury. Zaś fale morskie, niby nieustanny jęk bólu uderzają bez przerwy o skały... Do brzegu wyspy dobiega mała łódka z trumną, którą z pietymem obejmuje biała postać... Czarne zręby skał zdają się mówić: Dziś znowu ktoś do nas przyszedł... Jutro przyjdzie kto inny... Kiedyś i ty tu przyjdiesz... Przyjdiesz na pewno!...

Rzeczywiście, jest to wstrząsający obraz. Ale — jak już zostało powiedziane — czegoś mu brak. Nie mówię bowiem, co kryje się w ciemnych czełusciach skał. Nie odpowiada na bardzo zasadnicze pytanie: Co nas czeka po śmierci?

W tym przejawia się wyzłość chrześcijaństwa, że ze zwycięską pewnością siebie mówi o życiu wiecznym; że gwarantuje nam, iż poza smutną „Wyspą umarłych” czeka nas życie wieczne! Chrześcijaństwo umożliwiło ją tylko zapewnieniem Chrystusa, który — zwracając się do siostry Łazarza — powiedział:

„Jam jest zmartwychwstanie i żywot; kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. A każdy, kto żyje i wierzy we mnie, nie umrze na wieki” (J 11,25-26). Dzięki temu urzeczywistniło się największe pragnienie duszy ludzkiej; pragnienie życia pozagrobowego, życia nowego, które jest jednak dalszym ciągiem naszego bytowania na ziemi.

Podległa powszechnemu prawu śmierci, dnia 24 grudnia 1988 r. — w 87 roku życia — odwołana została z tego świata śp. Zofia Tuchta. Zmarła śmiercią tragiczną, podczas pożaru mieszkania.

Śp. Zmarła urodziła się 24 września 1902 r., jako córka Marii i Stanisława Prochowników, w Rącznej (dawny powiat krakowski). Jednak na ubogiej galicyjskiej wiosce nie znalazła odpowiednich warunków do życia. Dlatego jako trzynastoletnia dziewczyna udała się wraz z siostrą do Krakowa, w poszukiwaniu pracy i kawałka chleba, którego zabrakło dla niej w rodzinnych stronach. I pozostała w tym mieście do końca życia. Tutaj przeżyła okres wielkiego kryzysu gospodarczego w latach trzydziestych oraz tragiczne dni okupacji hitlerowskiej. W roku 1946 zawarła związek małżeński. Przed 25 laty oboje z mężem związały swoje losy z Kościołem Polskokatolickim, do którego śp. Zofia pociągnęła również swoją siostrę. Już w Polsce Ludowej doczekała wieku emerytalnego. Po śmierci męża (nastąpiła ona w 1976 r.) pozostawała pod opieką siostry.

Pogrzeb śp. Zofii odbył się dnia 6 stycznia br., o godzinie 14.00 na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. W ostatniej drodze towarzyszyli jej: proboszcz parafii przy ul. Friedleina — ks. kanclerz Czesław Siepetowski, duszpasterz parafii przy ul. Łagiewnickiej — ks. Marian Wnęk, ks. prefekt Władysław Pietrzyk oraz duszpasterz parafii przy ul. Bosackiej — ks. Jan Kuczek. Nie zabrakło również najbliższej rodziny, przyjaciół, wyznawców (z parafii przy ul. Fried-

leina i ul. Bosackiej) oraz znajomych. Wszyscy przyszli oddać śp. Zmarłej posługę miłosierdzia chrześcijańskiego, nakazującego „umarłych grzebać”.

Ostatnim modłem nad otwartą mogiłą przewodniczył ks. Cz. Siepetowski. On też wygłosił następnie do uczestników żałobnej uroczystości stosowną egzortę. Punktem wyjściowym jego wystąpienia były słowa Zbawiciela: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot; kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. A każdy, kto żyje i wierzy we mnie, nie umrze na wieki” (J 11,25-26).

Kontynuując zaś swoje przemówienie, Mówca przypomniał między innymi, że „życie śp. Zofii nacechowane było żywą wiarą. Świadczyły o niej — między innymi — takie przejawy, jak:

- życzliwość względem współwyznawców oraz wszystkich innych ludzi, z którymi przyszło jej spotykać się na co dzień;

- uczestnictwo w życiu liturgicznym Kościoła (nie tylko w niedziele i święta) oraz częste korzystanie z sakramentów świętych;

- modlitwa prywatna, na którą poświęcała wiele czasu...

Mamy więc prawo mieć uzasadnioną nadzieję, że przez uczynki płynące z wiary zasłużyła sobie na to, że chociaż odeszła z tego świata, żyć będzie na wieki... Jesteśmy przekonani — zarówno najbliżsi, jak i pozostali uczestnicy żałoby — że gdy i nas Bóg odwoła z tego świata, spotkamy się z Nią w wieczności... Wierzymy, że tam, po drugiej stronie grobu, Jezus nie będzie dla śp. Zmarłej surowym Sędzią, ale Zbawicielem...”

cepcji naukowych, nadmiar eksperymentów, prowizoryczność prac, brak środków finansowych.

Istotnie, jak przyznaje nawet ministerstwo transportu, żeglugi i łączności, codzienne działania rutynowe, wykonywane od 40 lat dla ochrony półwyspu — teraz nie wystarczą, mimo zbudowanego już w latach 1983—86 wału ochronnego w Kuźnicy, oddzielenia 20 km wydm i przetrzucenia 600 tys. m. sześć. piasku w okolice Chałup, Jastarni i Helu.

Teraz potrzeba nadzwyczajnych środków technicznych, organizacyjnych i finansowych. Problem jest o tyle skomplikowany, że ochrona brzegu morskiego to w ogóle zadanie bardzo trudne, a dotąd nie opracowano skutecznych metod działania w walce z wodą.

Na Wybrzeżu pojawiają się głosy, domagające się likwidacji głównego „winowajcy” — portu we Władysławowie. Jest to jednak mało prawdopodobne, gdyż z ekonomicznego punktu widzenia ratowanie Helu będzie dużo tańsze od kosztów likwidacji portu we Władysławowie i jego infrastruktury.

Jaki w takim razie jest ten plan ratowania Helu? Naukowcy stwierdzają, że na podstawie obecnego stanu wiedzy za taką metodę można uznać spłylenie strefy przybrzeżnej przez narzucenie piasku na stronę otwartego morza. Do tego potrzebne jest ułożenie dwóch podziemnych rurociągów do przesyłania piasku z Zatoki Puckiej, najlepiej w rejon Chałup i Kuźnic. Przewiezenie ok. miliona m. sześć. piasku z dna zatoki, z głębokości ok. 8—10 m powinno w ciągu 3—4 lat doprowadzić do odtworzenia plaży i brzegu, oczyszczając przy tym dno zatoki Puckiej. Integralną częścią tego planu ma być również uruchomienie stałego systemu przesyłowego dla portu we Władysławowie rurociągami o wydajności ok. 200—300 tys. m. sześć. ze strony zachodniej na wschodnią, dopóki będzie istniał port we Władysławowie. Narzucane w ten sztuczny sposób lachy piasku być może zatrzymają i zmienią kierunek rumowiska i zabezpieczą wybrzeże.

Według ministerstwa transportu, żeglugi i łączności plan ten nie daje stuprocentowej gwarancji, mieszcząc się jednak w granicach rozsądku i ryzyka.

To ryzyko trzeba podjąć, jeśli chcemy, aby w wakacje za parę lat móc jeszcze oglądać ten piękny skrawek naszego wybrzeża, jeśli chcemy, aby Hel istniał nadal.



Od kiedy zaczyna się człowiek?

W Piśmie Świętym czytamy: „W tym czasie Maryja wybrała się i poszła z pościem w góry do pewnego miasta w (pokoleniu) Judy. Weszła do domu Zachariasza i pozdrowiła Elżbietę. Gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Maryi, poruszyło się dzieciątko w jej łonie, a Duch Święty nappełnił Elżbietę. Wydała

ona okrzyk i powiedziała: Błogosławiona jesteś między niewiastami i błogosławiony jest owoc Twojego łona. A skądże mi to, że Matka mojego Pana przychodzi do mnie? Oto, skoro głos Twego pozdrowienia zabrzmiał w moich uszach, poruszyło się z radością dzieciątko w moim łonie. Błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła, że spełnią się słowa powiedziane Ci od Pana” (Łk 1, 39-45).

W cytowanym tu fragmencie Pisma Świętego jest mowa o **dziecięciu** znajdującym się w łonie matki.

Kościół zawsze nauczał, że życie powinno być otoczone opieką we wszystkich okresach jego rozwoju. W dziele pt. „Didache” czytamy: „Nie zabijesz płodu, przerywając ciążę, ani nie zabijesz nienarodzonego dziecięcia”. W ten sposób pisali także Ojcowie Kościoła, np. Tertulian oraz Doktor Kościoła św. Tomasz. Pierwszy Synod Moguncki (847 r.) potwierdza ustalenia poprzednich synodów, że na kobiety, które „płód swój niszczą, albo które powodują usunięcie ciąży z łona”, powinna być nałożona surowa pokuta.

Stanowisko Kościoła w naszych czasach jest takie samo. Dzisiaj nauka nie kwestionuje tego, że płód jest człowiekiem. To jest człowiek w pewnym etapie swego rozwoju. Człowiek, który ma prawo do istnienia, a jego uzależnienie fizyczne od matki nie zmienia jego prawa do istnienia. To uzależnienie powiększa jeszcze odpowiedzialność matki za życie, które zostało jej powierzone.

Od kiedy więc zaczyna się człowiek? Na ten temat nie ma wątpliwości w świetle współczesnej embriologii. Życie ludzkie rozpoczyna się z chwilą połączenia się komórek rodzicielskich. Prawo nie może zatem ignorować wyników badań embriologii, potwierdzonych także przez inne dziedziny nauk jak np. psychologię prenatalną. Wybitny badacz w tej dziedzinie, prof. dr Erich Biechschmidt, odkrył podstawy i sformułował tzw. kinetyczną teorię rozwoju. W myśl tej teorii wszelkie stadia rozwojowe człowieka są zmiennym obrazem niezmiennej istoty ludzkiej z jej charakterystycznymi ludzkimi funkcjami. W całym okresie rozwojowym nowo powstała istota ludzka

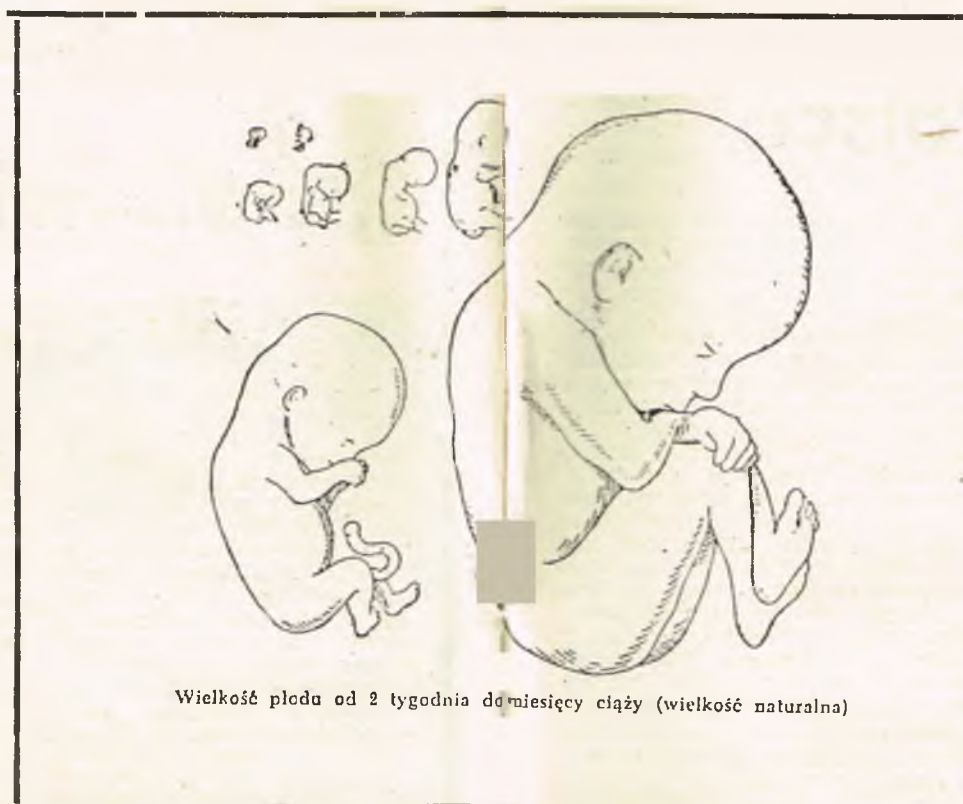
„Kobieta, która na forum Parlamentu domaga się prawa do zabijania, prawa do zbrodni wobec poczętego dziecka...

Kobieta, która wybiera własne życie, kosztem życia swego dziecka...

nie zasługuje na miano: Matka!

Sam fakt, że tyle kobiet głosuje za zbrodnią wobec poczętego życia świadczy o wynaturzeniu i nienormalności naszych czasów”.

(Czytelniczka, MARIA ZAWADZKA z Kielc)



Wielkość płodu od 2 tygodnia do miesiący ciąży (wielkość naturalna)

stara się pozostać tym, czym jest od chwili poczęcia i zachować swą indywidualność jedyną i niepowtarzalną, innymi słowami człowiek podczas całej ontogenezy, czyli indywidualnego kształtowania się od poczęcia, jest człowiekiem. Nie staje się nim kiedykolwiek później, w trakcie dalszego rozwoju.

Niemożliwa jest afirmacja człowieka bez afirmacji jego życia. Życie ludzkie jest wartością niezbywalną i nie podlegającą

kwestionowaniu. Naruszenie tego dogodzi wprost w samo sedno człowieczeństwa. A bez afirmacji człowieka i jego życia niemożliwa jest żadna forma humanizmu.

Prawo musi przede wszystkim służyć człowiekowi, jego dobru, obronie go życia i godności. Życie człowieka swój ustalony początek — a więc całe życie musi podlegać ochronie, równie prawnej.

WYCZEKIWANIE

(Zięciowi)

Nasłuchujesz w łonie żony
pulsu jeszcze nienarodzonego
owoc poczęty z twoich łędźwi
i waszej miłości.

Ojcostwo wiosenną nocą
rozbudzone drży niepokojem
serduszek wyrzeźbione
z serca matki już bije...

Głosik który jeszcze jest
ciszą dla innych dla was
dosłyszalny w szepcie
pierworodnego — rodzice
ja żyję

HILDEGARDA FILAS-GUTKOWSKA

NIE NARODZONE

Wyciągnięte rączki...

— Obejmij mnie, mamo!
I przytul do serca,
bym nie było samo.
Widzisz — ufam tobie,
jesteś dla mnie wszystkim —
mym pokarmem, domem,
najbliższą wśród bliskich...
Ty mnie nie zawiedziesz,
gdy inni zawiodą,
bom jest częścią ciebie —
troską i osłoda.
Świat mój — twą sukienką,
słuchaniem twych kroków,
mamo!
Dasz mi życie? Powiedz...
w którym roku?

Małgorzata Kapińska



Dokąd idziesz, Ewo?

„Ewa” w języku hebrajskim znaczy dosłownie „ta, która daje życie”. Była więc Ewa zgodnie z przekazem ewangelicznym „matką żyjących”. Matką całego rodzaju ludzkiego.

Nie jest jednak moim zamiarem snucie rozważań na temat opisanych w Księdze Rodzaju losów pierwszych rodziców. Chciałabym natomiast odwołać się do zainspirowanych chrześcijaństwem głęboko humanistycznych refleksji Nicole Èchivard, autorki książki „Kobieta, kim jesteś?”.

Już sam tytuł zaproponowany przez autorkę skłania do poszukiwań celem uzyskania odpowiedzi na postawione przez nią pytanie. Pytanie skądinąd dramatyczne, zwłaszcza w obliczu powszechnie panującego dziś relatywizmu w zakresie istotnych dla człowieka kwestii moralnych. Tak więc w obliczu rozmaitych narastających sprzeczności i polaryzacji stanowisk co do społecznej roli i zadań kobiety, jej praw i obowiązków względem rodziny, społeczeństwa czy wreszcie dotykającej jej bezpośrednio aborcji, książka francuskiej autorki nabiera szczególnego znaczenia i z tych to właśnie względów zasługuje na specjalne potraktowanie.

Przyznam, że z racji podjętych problemów takich jak: kobieta w centrum walki duchowej, nauczanie Kościoła a rola społeczna kobiety, kobieta a ideologie, charyzmaty kobiety, kobieta a małżeństwo i macierzyństwo, książka Nicole Èchivard może i powinna stanowić interesującą lekturę dla każdego poszukującego człowieka. Częste powoływanie się przez autorkę na Ewangelię czy nauki soborowe w gruncie rzeczy nie przesądza bowiem o adresacie. Myślę, że jest to książka w równym stopniu dla katolika, jak i wyznawcy innej religii, a nawet dla ateisty. Głęboki humanizm, z jakim autorka odsłania wszystkie nieomal tajemnice „bycia kobietą” służy w gruncie rzeczy przywróceniu godności i dobrego imienia współczesnej Ewy, rehabilitacji tych wszystkich wartości, których kobieta jest nosicielką z racji zadań powierzonych jej przez Stwórcę.

Wszystko to, co Nicole Èchivard mówi w swej książce o kobiecie ma niewątpliwie charakter uniewersalny i ponadczasowy. Jej bohaterką w jednakowym stopniu jest kobieta zamężna, jak i samotna, matka i bezdzietna, świecka i zakonnica.

ciąg dalszy na str. 11

Rok 1939 i wojna w Polsce

(Rozpoczynamy przedruk fragmentów książki Władysława Andersa pt. „Bez Ostatniego Rozdziału”.)

Książka ta ukazała się w Londynie w styczniu 1949 roku, w kwietniu 1950, w maju 1959 oraz w Belgii w roku 1973 nakładem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. W ciągu tych lat książkę przetłumaczono na wiele języków: angielski, francuski, włoski, hiszpański, holenderski, łotewski oraz japoński, koreański i chiński.

„Nastawiam radio i dowiadujemy się, że wojska sowieckie przekroczyły granicę Polski i posuwają się na zachód. Widzę oczy wszystkich wlepione we mnie. Znikąd żadnych rozkazów, żadnych instrukcji, co robić?

Jeszcze przed rozpoczęciem wojny zaskoczył nas ogłoszony urzędowo tzw. pakt o nieagresji, zawarty 23 sierpnia 1939 roku między Niemcami a Rosją sowiecką, wiedzieliśmy bowiem, że od maja była w Moskwie także misja angielsko-francuska. Nie przypuszczałem, że Rosja sowiecka wystąpi przeciw Anglii i Francji, a pośrednio także przeciw Ameryce. Myślę, że i naczelne dowództwo tak samo oceniało położenie. W przeciwnym razie nie wycofałoby wszystkich urzędów i zakładów na wschód, nie przeszłoby samo do Brześcia. Siedziba rządu wraz z poselstwami państw zagranicznych nie przeniosłaby się do Krzemienia i Tarnopola. Okazuje się, że były nasze, odsłonięte i bezbronne, zostały wydane na łup armii sowieckiej, i to w chwili, kiedy impet niemiecki zaczął się zmniejszać, kiedy wydłużone na kilkaset kilometrów linie kolejowe i zaopatrzeniowe niemieckie zaczęły zawodzić i kiedy mogliśmy przetrzymać w walkach jeszcze pewien okres i dać sojusznikom możliwość uderzenia na odsłonięte granice zachodnie Niemiec.

Rosja sowiecka jednostronnie zerwała traktat o nieagresji z Polską w najcięższej dla Polski chwili i jak szakal rzuciła się od tyłu na straszliwie krwawiącą armię polską.

Nie zmieniam swoich zamiarów. Idziemy na południe, gdzie przekonany jestem, musiał zostać utworzony przyczółek na granicy węgiersko-rumuńskiej. Mamy przecież sojusz wojskowy z Rumunią, a z Węgrami byliśmy zawsze w przyjaźni. Zrobimy wszystko, żeby się przedostać. Ostatecznie będziemy dalej walczyli o Polskę, choćby na obcej ziemi (...)

Doganiamy jednostki armii gen. Dęba-Biernackiego. Jadę do niego, by uzgodnić działania. Gen. Dąb-Biernacki obejmuje dowództwo nad całością wojsk. Wydane przezeń rozkazy nacierania we wszystkich kierunkach, bez żadnej myśli przewodniej, uważam za całkowicie chybione. Proponuję większe skoncentrowanie i przebiecie się przez linię niemiecką, a dalej na jej tyłach marsz na południe. Niestety, nie zgadza się na zmianę wydanych już rozkazów. Mam atakować przeciwnika między Zamościem a Tarnowatką. Kierunek Suchowola — Krasnobród. 10-ta dywizja piechoty odchodzi pod dowództwo gen. Jana Kruszewskiego, ja zaś otrzymuję resztki brygad kawaleryjskich, teoretycznie, gdyż są szeroko rozrzucone w terenie i nawet dobrze nie wiem, gdzie się znajdują. Jedyny oddział, który pod względem moralnym i zaopatrzenia jest całkowicie w porządku, to moja stara brygada nowogródzka. Walczyć może także brygada wołyńska oraz resztki

brygady kresowej i brygady wileńskiej. Jest to właściwie wszystko czym faktycznie dowodzę. Widzę, że dywizje gen. Dęba-Biernackiego są przemęczone i niezdolne do twardej walki. Jestem przekonany, że brygada nowogródzka otworzy lukę, którą można będzie przeprowadzić resztę wojska. Gen. Dąb-Biernacki w to nie wierzy. Uprzedzam, że długo otwartej luki trzymać nie zdołam gdyż oczywiście przybędą zaraz odwoły nieprzyjaciela i lotnictwo. Trzeba piechotę skoncentrować tuż za kawalerią i zaniechać natarcia na Zamość (...).

Otrzymujemy wiadomość, że Lwów — zawsze bohaterski — broni się i że Niemcy nie mogą go zdobyć. Wojska sowieckie posuwają się coraz bardziej w głąb Polski.

Nie mamy chwili do stracenia. Trzeba bez zwłoki przebiec się na południe. Jak na złość, od początku wojny ani kropli deszczu. Piękna, słoneczna pogoda. Suche lato. Niski poziom wody w rzekach. Czołgi niemieckie nie napotykają żadnych przeszkód. Doskonała widoczność dla lotnictwa niemieckiego. Lotnictwo polskie już prawie nie istnieje (...).

Postanawiam dalszy marsz w kierunku na Jaworów-Samobr. Zmęczenie straszliwe. Konie ledwo idą. Spodziewam się spotkania z Niemcami na szosie Jaworów-Jarosław. Decyduję się na marsz równoległy dwóch kolumn celem wywalczenia przejścia na południe. Maszeruję z prawą kolumną. Wschodnią dowodził płk. Grobicki. Raptem kolumna staje. Posuwam się do czoła. Szperacze meldują, że widzą Niemców, okopanych pod wsią Broszki na szosie Jaworów-Krakowiec. 26 września. Zaczyna świtać.

Pada pojedynczy strzał niemiecki. Zaraz rozpocznie się ogień karabinów maszynowych. Nie ma gdzie zboczyć. Puszczam do szarzy obydwie czołowe pułki, 26-y i 27-y ułanów. Niemcy są całkowicie zaskoczeni, częściowo wyrabani, duża część batalionu wzięta do niewoli. Dowództwo niemieckie 28-ej dywizji piechoty przysyła parlamentarzysty z propozycją poddania się, twierdząc, że nie może być mowy o przejściu dalej, gdyż cały kraj jest zajęty przez wojsko niemieckie i posuwające się na zachód wojsko sowieckie. Wreszcie proponuję za oddanie jeńców nieatakowanie nas z własnej inicjatywy. Oddaję jeńców, bo cóż mam z nim robić, tym bardziej, że nieprzyjaciel broni się uporczywie w następnej wsi Morańce. Mam dość poważne straty.

Decyduję się na dalszy marsz. Wiem już, że boczna kolumna płk. Grobickiego, która szła na Rogóżno musiała stoczyć walkę, ale oddziały jej posuwają się także na południe. Zmierzamy do rejonu miejscowości Dernaki, wyznaczonego na koncentrację obydwu kolumn.

Niestety, Dernaki zajęli bolszewicy. Jest już dobrze po południu 26 września. Pada lekki deszcz. Płk. Grobicki wpadł w zasadzkę, ranny dostał się do niewoli. Płk. Konstanty Drucki-Lubecki ciężko ranny. Oddziały czołowe, spotkane ogniem karabinów maszynowych i armat, rozpoczynają walkę. Decyduję się na natychmiastowy marsz dalszy, starając się przejść między wojskiem sowieckim a niemieckim. Po drodze ciągle walki z oddziałami sowieckimi. Świt 27 września. Posuwamy się zbyt wolno. Jadę do czołowego pułku. Okazuje się, że winę ponosi płk. Ludwik Schweizer. Chwiejny i nie w porę ostrożny, nie rozumiał, że tylko szybkość marszu może nas uratować. Dowódca brygady płk. Żeliszewski zawiesił go w czynnościach.

Natykamy się na poważne siły sowieckie. Próbuje się z nimi dogadać, żeby bez walki przepuszczono nas na południe z celem przejścia do Węgier. W tym celu wysłałem jednego z najlepszych moich oficerów, rtm. Stanisława Kuczyńskiego, do dowództwa sowieckiego. Niestety, na próżno. Został doszczętnie obrabowany i ledwie uszedł z życiem. Prawie jednocześnie bolszewicy rozpoczęli z góry już przygotowany ogień artylerii. Zagrały liczne karabiny maszynowe. Pokazują się pierwsze czołgi. Wywiązuje się walka 9-y dywizjon artylerii konnej, który był wzorem walk artylerii w najtrudniejszych warunkach boju, niezmiernie celnie wspierał wszystkie działania. Przy pomocy armatek przeciwpancernych zniszczył sporo nacierających na nas czołgów sowieckich. Niestety, widać nawet gołym okiem masy sowieckiego wojska różnych rodzajów broni, które przecinają nam dalszy marsz 25-y pułk. ułanów krwawi się, osłaniając nasze skrzydło.

Widzę jasno, chociaż nie mogę zrozumieć dlaczego, że nie stworzono żadnego przyczółku w tak dogodnym terenie, jak pogranicze węgiersko-rumuńskie. Już po wojnie dowiedziałem się, że przyczółek taki przygotowano na linii Dniestru, aby umożliwić odejście wojska za granicę, ale wkroczenie wojsk sowieckich na jego tyły uniemożliwiło nam uratowanie co najmniej 200—300 tysięcy ludzi, którzy tak bardzo przydaliby się potem na zachodzie (...).

Razem z kilkunastoma oficerami i szeregowymi udało nam się przejść między oddziałami sowieckimi, w niektórych miejscach o 100 m od biwakujących żołnierzy. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jaka masa wojsk sowieckich znajdowała się na tym terenie. Wszystkie wsie, nawet chutory, zalało wojsko bolszewickie. Przeszliśmy koło Sambora i przy pomocy doskonałych przewodników wydostaliśmy się przez góry na wysokości miejscowości Turka. Ten marsz w nocy z 28 na 29 września był niezwykle trudny ze względu na górzysty i zalesiony teren.

Zatrzymaliśmy się w lesie, aby dać nieco odpocząć zmordowanemu koniom, zamierzając pod wieczór podjąć dalszy wysiłek. Wkrótce zaobserwowaliśmy, że ze wszystkich stron nadciągają oddziały sowieckie. Musieli być uprzedzeni i specjalnie nastawieni na wyłapywanie oddziałów polskich. Wobec gęstego lasu i bagien nie do przebycia dla koni, porzuciliśmy je a sami ukrywaliśmy się w werstepach leśnych. Łańcuchy żołnierzy sowieckich przeszły koło nas zaledwie o kilka kroków. Musiałem pilnować, ażeby ktoś w podnieceniu nie wystrzelił.

O zmierzchu ruszyliśmy na południe. Gdyśmy omijali wieś Zastówkę, zostaliśmy w ciemności zaatakowani przez bandę, widocznie mieszaną, żołnierzy rosyjskich i partyzantów ukraińskich. Rozpoczęła się strzelanina, a nawet walka wręcz. Jak wspominała była w tej chwili ta garstka Polaków!

Zostałem ranny, raz, a następnie drugi. Czulem, że mam nadwyrężony krzyż. Bardzo silnie krwawiła rana w biodrze. Nie chcąc utrudniać dalszego marszu kolegom, prosiłem ich, by zostawili mnie na miejscu. Byłem zdecydowany nie oddać się żywym w ręce napastników. Ale moi towarzysze broni nie chcieli o tym słyszeć. Z największym trudem i poświęceniem właściwie nieśli mnie na rękach. Dostałem krwotoku raz, potem drugi. Dałem kategoryczny rozkaz, żeby szli na Węgry. Żegnając tych świetnych żołnierzy”.

cdn.

Nie jest to zresztą książka adresowana wyłącznie do kobiet. Jej odbiorcą może i powinien być również mężczyzna, tym bardziej, że w rozważaniach dotyczących wzajemnego stosunku obojga znajdzie on wiele interesujących i wzbogacających go treści. Rzecz bowiem w tym, iż szukając i znajdując odpowiedź na pytanie „kim jesteś, Ewo?”, Echivard odpowiada jednocześnie na pytanie „kim jesteś, Adamie?”. W ten sposób powodowana prawdziwie chrześcijańską miłością do obojga bardzo subtelnie wkracza w sferę ich odmienności, a więc to, co wspaniałe i wzajemnie się dopełniające, choć z drugiej strony często prowadzące do niezgody i dysonansu.

„Mężczyznę i kobietą stworzył ich” — brzmi ewangeliczna prawda. W tych kilku słowach zawarta została treść, która wykracza daleko poza wyświechtane stereotypy. W świetle nauki Jezusa nabierają one dodatkowych znaczeń. Oto biologia jest tajemnicą i znakiem duchowości, a także znakiem niewidzialnej biologiczno-duchowej jedności. „Kobieta jest biologicznie płci żeńskiej dlatego, iż jest kobietą, a nie odwrotnie. Mężczyzna jest biologicznie płci męskiej dlatego, że jest mężczyzną, nie zaś odwrotnie.”

Wzajemne odniesienie biblijnych małżonków pozwala natomiast autorce wyprowadzić dalsze wnioski co do duchowego powołania kobiety. Tak więc idąc za przesłaniem Księgi Rodzaju i Apokalipsy, kobieta jawi się nam jako „tajemnica”, której istotą jest to, iż pełni ona wobec mężczyzny rolę pośredniczki miłości. Przez kobietę Bóg otwiera zarazem serce mężczyzny, „przez kobietę, całkowicie podobną i całkowicie różną, Bóg powoduje, iż w sercu Adama pojawia się miłość”. Oto bowiem Ewa została stworzona, by Adam nie był sam. Ma ona pośredniczyć w rozwoju jego istoty. Skoro zaś jest ona (kobieta) „darem Boga i pomocą, powinna być przyjęta przez mężczyznę”, który od tej pory staje się „ogrodnikiem” płodnej „winnicy”, jej opiekunem i osłoną. Wspomniana tu „płodność” nie dotyczy wyłącznie biologicznej płodności kobiety. Chodzi o coś znacznie więcej — o nieustające źródło miłości, jakim jest kobieta w stworzonym zamyśle Boga. Życie tego źródła zależy od dbałości mężczyzny, albowiem — twierdzi Echivard — „bez przyjmującego i ochronnego pośrednictwa mężczyzny bezbronnemu źródłu miłości grożą Anioł Ciemności, zbeszczeszczenie i wyschnięcie.”

Ten głęboko chrześcijański wymiar wzajemnej miłości oddania kobiety i mężczyzny prowadzi przede wszystkim do odpowiedzialności człowieka za człowieka. Bo być odpowiedzialnym za drugą istotę ludzką, to jednocześnie „kochać ją, jak siebie samego”, a więc wnikać i rozumieć jej potrzeby, mieć na uwadze szeroko pojęte dobro jej osoby.

Jak daleko odeszliśmy od podobnego traktowania ludzi — często nam najbliższych — świadczą dzisiejsze dramaty rozbitych rodzin, porzuconych dzieci, uśmiercające „zabiegi” dokonywane na nie narodzonych, tragedie zdradzanych współmałżonków.

Świadczą też o tym coraz częstsze konflikty pojawiające się wśród ludzi różnych ras, wyznań, zapatrywań.

Dzieje się tak zawsze, gdy miłość zostaje zastąpiona przez siłę. I nie jest wcale istotne, czy siła ta degradowa, sprowadza do roli przedmiotu-ofiary jednostki czy narody. W każdym bowiem przypadku okalecza ona i niszczy duchowość człowieka, sprzeniewierza się jego godności — unicestwia jego człowieczeństwo.

Na tle tak wielu zagrożeń rola kobiety jawi się jako szczególne posłannictwo. Posłannictwo wyrastające z miłości. Tu Nicole Echivard nawiązuje do postanowień Soboru Watykańskiego II, powołuje się na ogłoszone przez Sobór w roku 1965 „Orędzie do kobiet.” Wynika z niego jednoznacznie, iż obecna pozycja kobiety, jaką zajmuje ona w społeczeństwie powinna służyć przede wszystkim dobru całej ludzkości. Walka o to dobro rozpoczyna się w rodzinie i przez nią, a następnie zatacza coraz szersze kręgi grup, narodów i społeczeństw.

„Dlatego też w chwili obecnej, gdy ludzkość doznaje tak głębokich przemian, przeniknięte duchem Ewangelii kobiety mogą wiele uczynić, aby ludzkość nie upadła. Waszym, niewiasty, udziałem jest strzec zawsze ogniska domowego, miłości najpierwszej, istoty kołyski (...). Powstrzymajcie rękę mężczyzny, gdyby w chwili szaleństwa próbowała zniszczyć cywilizację” (...).

Trudno mieć wątpliwości co do wagi i znaczenia spoczywających na kobiecie zadań. Aby je podjąć, kobieta musi najpierw zrozumieć ich konieczność. Musi także dostrzec ich nieuchronność. Stara maksyma głosi „jaka kobieta, takie społeczeństwo”. Świadomość tych słów nakazuje przede wszystkim poczucie odpowiedzialności. Potrzebę samodoskonalenia i dorastania do tej odpowiedzialności w imię powierzonych kobiecie zadań — z myślą o drugim człowieku, o każdej osobie ludzkiej.

Czy współczesna Ewa jest dostatecznie silna, by wziąć na siebie tak ważną rolę? Na ile jest ona słabą biblijną Ewą, a na ile Matką wypełniającą swe ewangeliczne posłannictwo, którego treścią są: miłość, moc wstawiennicza i pojednanie?

W świecie współczesnym szanse oddziaływania kobiety w zakresie tych wartości są większe niż kiedykolwiek. Jej społeczne uczestnictwo znajdujące swój wyraz w rozmaitych przejawach życia sprzyja szerzeniu owych ewangelicznych wartości, ale

niesie także ze sobą wiele zagrożeń.

Jednym z nich jest spaczenie osobowości kobiety w wyniku świadomej lub nieświadomej rezygnacji przez nią z istoty jej kobiecości, potrzeb i zadań, wyrzeczenie się siebie i przejęcie „męskiego” wzorca osobowości. Wiele z takich postaw bywa tłumaczonych potrzebą „niezależności”. Dodajmy: niezależności rozumianej fałszywie i infantylnie.

Jaką „niezależnością” może być na przykład dla kobiety — zapytuje Nicole Echivard — wykonywanie szkodliwych dla jej ustroju męskich zawodów? Co zostało wygrane wraz z przyznaniem jej prawem występowania o rozwód czy przerywaniem ciąży? „Kobiety i mężczyźni dość już zmasakrowali tajemnicę miłości, by cieszyć się, że kobieta jak mężczyzna może przestać być źródłem życia, strażniczką swego małego, a także strażniczką miłości mężczyzny!”

Czy nie jest tragedią kobiet, że w krótkim stosunkowo czasie nabywania praw politycznych, społecznych czy zawodowych zostały one zdominowane właśnie przez typowo „męskie” struktury, że bez uznania ich odmienności zostały one wtłoczone w sztywny schemat rozmaitych „obiektywnych” racji i układów? Bo taka była i jest cena upragnionego przez nie równouprawnienia. Ale czy na pewno **takiego** równouprawnienia?

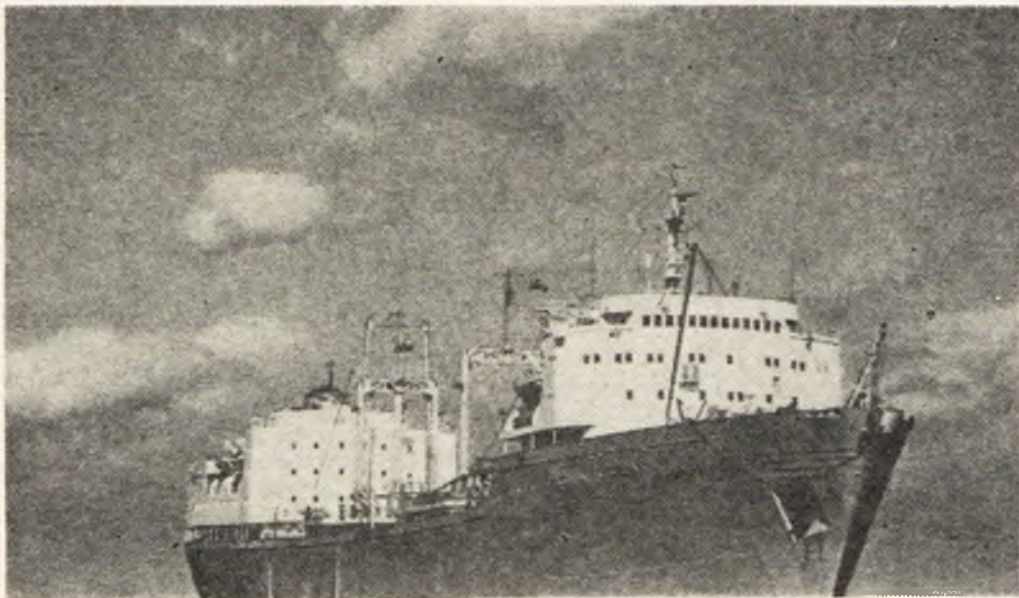
W tym zakresie bardzo dużo pozostaje jeszcze do zrobienia. Nie chodzi przecież o to, by kwestionować społeczne, polityczne czy zawodowe prawa kobiety. Ale chodzi o ich modyfikację, stałe doskonalenie w kierunku respektowania odmienności psycho-fizycznej kobiety, poszanowania jej godności. Chodzi tu w znacznej mierze o to, by przyszłe prawa i struktury społeczne gwarantowały kobiecie optymalne dla niej i społeczeństwa pogodzenie roli matki i pracownika. Bowiem „przyjąć kobietę w społeczeństwie”, to w pierw przyjąć jej istotę, psychikę, jej wymagania, nie zaś używać jej „siły roboczej”. Bo jakkolwiek udział w życiu publicznym jest dzisiaj prawem kobiety, wszelkie posłużenie się nią niezgodnie z jej istotą stanowi nadużycie i zagrożenie. Dlatego też poszukiwanie na rzecz porządku i równowagi bardziej odpowiadającej ludzkiej i chrześcijańskiej godności kobiety, jest zdaniem autorki książki nakazem czasów, w których żyjemy.

„Kobieto, kim jesteś? — zapytuje Nicole Echivard. Kim jesteś u progu nowego wieku?... Czy masz świadomość swej odmienności? W którą stronę skierujesz swe kroki?

Jeżeli w stronę Prawdy i Miłości ocalisz nie tylko siebie, ale także swój Dom, całą ludzką rodzinę.

Elżbieta Domańska

NICOLE ECHIVARD: Kobieto, kim jesteś? Poznań 1987 „W drodze”, ss. 191.



Kto odkrył Amerykę?

Zagadnienie odkrycia Ameryki należy do tematów, które bez przesady zaliczyć można do nieśmiertelnych. Zajmowali się nim już starożytni i od tamtych czasów każde nowe pokolenie modyfikowało przejęty po przodkach obraz i wzbogacało go o nowe prawdziwe lub fantastyczne elementy.

Nie ma wątpliwości co do tego, kto pierwszy odkrył kontynent amerykański. Odkrywcami byli azjatyccy koczownicy i myśliwi, którzy nieświadomie, w pościgu za zwierzyną, przeszli przed około 30–40 tysiącami lat z Azji do Ameryki po lądowym pomoście, jaki wówczas istniał w rejonie dzisiejszej Cieśniny Beringa. Oni jednak odkryli Amerykę tylko dla siebie. Świat przez wiele tysięcy lat nie zdawał sobie sprawy z istnienia tego lądu i w tym sensie Ameryka nie istniała jeszcze dla świata.

Pierwsze mgliste wyobrażenia o istnieniu Lądu Zachodniego, może być również pierwsze nieśmiałe wyprawy w tamtym kierunku, przypisać należy starożytnym żeglarzom. Pośród nich zaś na największe uznanie zasłużyli Fenicjanie i ich pobratymcy — Kartagińczycy, handlujący i kontaktujący się z wieloma krajami, leżącymi poza granicami starożytnej ekumeny. Zagadnienie fenickich i kartagińskich wypraw do Ameryki jest jednym z najbardziej kontrowersyjnych tematów w dziejach starożytności. Istnieją stosunkowo nikłe dowody, że wyprawy takie miały miejsce. Jeżeli jednak nawet Fenicjanie odwiedzali Amerykę, to konsekwencje tych wizyt zarówno dla Starego, jak i Nowego Świata, były znikome. Nie przyczyniły się one do wzrostu wiedzy geograficznej po obydwu stronach Atlantyku, nie zainspirowały trwałych, kształtujących nowy obraz kulturowy, kontaktów. Jeżeli więc nawet Fenicjanie stąpali po amerykańskiej ziemi, jeżeli nawet płodzili dzieci z tamtejszymi kobietami i zamieszkiwali w nadbrzeżnych osiedlach, to i tak nie możemy uznać ich za odkrywców Ameryki. Odkryli oni bowiem ów ląd — podobnie jak azjatyccy koczownicy — jedynie na swój własny i często jedynie dożny użytek.

Podobnie ocenić możemy innych starożytnych i średniowiecznych pretendentów do wawrzynu odkrywców Ameryki. Wikingowie, którzy pozostawili niewątpliwe ślady swych wizyt na wybrzeżach Nowej Funlandii,

odkryli Amerykę również na swój własny użytek. O istnieniu Winlandii nie wiedzieli nawet ich najbliżsi pobratymcy, zamieszkujący w Skandynawii. Dowiedzieli się o tym dopiero po latach, kiedy grenlandzkie i islandzkie sagi przedostały się do Europy. Pomimo początkowych zamierzeń nie udało się Normanom skolonizować Winlandii. Ich wizyty miały charakter sporadyczny, ograniczający się co najwyżej do kilku zimowań. Kontakty z tubylcami miały charakter konfliktowy i nie było pośród nich okazji do wzajemnej obserwacji i wymiany. O istnieniu Winlandii osadnicy grenlandzcy i islandzcy zapomnieli już po kilku pokoleniach. Odkrycie tego kraju w niczym nie wpłynęło na bieg dziejów Europy.

Tę samą opinię można wyrazić o wyprawach św. Brendana — irlandzkiego mnicha, żyjącego w latach około 484–577 — na Zachodnie Morze Mroków, o jego poszukiwaniach Antyli i Brasilii, o jego wizycie na wielkim stałym lądzie, którym być może była Ameryka. I w tym wypadku trudno kreować irlandzkiego świętego na odkrywcę Nowego Świata dla Świata Starego. Aby bowiem dokonać odkrycia, jakie mamy na myśli, nie wystarczy przebyć wodną przestrzeń Atlantyku. Wydaje się zresztą, że przebycie tego oceanu nie było aż tak trudne dla starożytnych, jak to sobie dzisiaj wyobrażamy. Prąd Kanaryjski, łączący wybrzeża północnej Afryki z rejonem Antyli i Zatoki Meksykańskiej, jest potężną oceaniczną rzeką, która w miarę bezpiecznie zaniesie ze Starego do Nowego Świata każdą, choćby nawet bardzo prymitywną jednostkę.

Ocean już od najdawniejszych czasów nie tylko dzielił, ale i łączył. Droga, którą pod koniec lata 1492 roku przybyły trzy statki Kolumba, była szlakiem wielokrotnie wcześniej użytkowanym przez żeglarzy basenu Morza Śródziemnego. Kolumb, będący spadkobiercą śródziemnomorskich tradycji i uczestnikiem kultury śródziemnomorskiej, odkrył zapomnianą tajemnicę owej zachodniej drogi. Być może zresztą, jako człowiek obdarzony „wycuciem morza”, posiadał on również zapisaną w genach i przekazaną dziedzicznie wiedzę o morzu, zebraną przez wszystkich jego śródziemnomorskich przodków. Być może, pośród tych wszystkich znanych i zapomnianych wiadomości morskich znaj-

dowała się również przeczuła wyobraźnią i odszukana przy pomocy nawigacyjnych umiejętności informacja o szerokim morskim szlaku, niosącym okręty do Zachodniego Lądu.

Nie wiadomo w końcu jak było, ale jest faktem, że już u progu swej pierwszej wyprawy do Ameryki przyszedł odkrywca tego lądu pewną ręką poprowadził swe statki w rejon Wysp Kanaryjskich, gdzie rozpoczyna się owa niezwykła autostrada przez Atlantyk. Wybór tej trasy w dużej mierze zapewnił powodzenie całej wyprawy. Samuel Morison, który w 1938 roku przepłynął szlakiem pierwszej wyprawy Kolumba, twierdzi, że Admirał wybrał najlepszą i najbezpieczniejszą z możliwych dróg. Trasa obrana przez Kolumba pokrywa się niemal na całej długości z najkrótszym i najbezpieczniejszym szlakiem, jakim dziś zmierzają z Europy do Ameryki jachty żaglowe i statki handlowe.

W równie genialny sposób odnalazł Kolumb drogę powrotną do Europy. W ten sposób Admirał wyznaczył trasę, którą przez następne kilka stuleci hiszpańskie statki podążają do amerykańskich kolonii i powracają stamtąd do Europy. Na ile to odkrycie było rezultatem marynistycznej wiedzy, zebranej przez Kolumba we wcześniejszych wyprawach, a na ile było ono wynikiem nadzwyczajnej intuicji Wielkiego Żeglarza i jego odziedziczonego po przodkach „wycucia morza” — pytanie to pozostaje nie rozwiązane. Jednakże w tym właśnie fakcie, a także w niezwykłym uporze i wytrwałości Kolumba, tkwią przyczyny, dla których ciągle — pomimo nieustannych prób podważania jego zasług — obdarzamy go tytułem Odkrywcę Nowego Świata.

Rzec można, że drogę do Ameryki budowano przez tysiąclecia. Jej otwarcia dokonał jednak Kolumb, dokonała jego wiedza i upór. I mniejsze znaczenie ma tu fakt, że Admirał nie był pierwszym wędrownicem z Europy, który zawitał na Zachodni Kontynent. Nie chodzi tu zresztą o wspomniane już wyprawy Fenicjan i Normanów. Pośród licznych rywali Kolumba wiele interesującą postacią jest jego rodak — Włoch Giovanni Caboto, znany w Anglii jako John Cabot. Oto bowiem nie ulega wątpliwości, że to właśnie ten człowiek kilka miesięcy przed Kolumbem stanął na stałym lądzie Ameryki.

W dwóch pierwszych swoich wyprawach Kolumb odkrył bowiem jedynie wyspy rejonu Karaibów, a dopiero w czasie trzeciej wyprawy, w 1498 roku. Hiszpanie po raz pierwszy ujrzeli i stanęli na stałym lądzie Ameryki. Wcześniej, bo w 1497 roku, wspomniany John Cabot, poszukujący na polecenie angielskiego władcy północnego przejścia do Chin, wyładował na lądzie, który nazwał Terra Prima Vista — „Ziemia po Raz Pierwszy Ujrzana”. Później okazało się, że ziemię tę już przed pięcioma stuleciami odwiedzali Normanowie, toteż nadano jej bardziej właściwą nazwę Nowej Funlandii czyli „Ziemia na Nowo Odnalezioną”.

Fakt ten nie ma jednak dla nas specjalnego znaczenia. Bowiem również podróż Cabota nie pociągnęła za sobą żadnych konsekwencji, które by w jakiś znaczący sposób wpłynęły na losy Starego i Nowego Świata. To nie Anglicy rozpoczęli kolonizację Ameryki, to nie oni związali ów kontynent z resztą świata. Uczynili to Hiszpanie pod przewodnictwem Kolumba, dlatego jemu należy się miano odkrywcy rzeczywistego Nowego Świata. Bowiem, w czasie swej trzeciej wyprawy, płynąc wzdłuż wybrzeży wielkiego kontynentu, Admirał doszedł do wniosku, że mylił się, nazywając odkryty ląd Indianami lub Chinami. Stwierdził, że jest to Inny Świat, nie znany starożytnym geografom. Jest to zarazem świat — pisał o tym w liście do pary królewskiej — wspomniany przez Pismo Święte i proroków.

E.S.

Morze — ten niezmierny ogrom wody,
Który tak szumi, tak się kołysze —
Przyciąga latem tłumy ludzi:
Gdzie okiem sięgnąć — tam wczasowicze...

Dzieci — największą mają frajdę,
I czują się wręcz doskonale,
Kiedy, budując w piasku wielkie zamki
W ich bose stopki — laskoczą fale...

A gdy wieczorem rzednie tłum,
I złota plaża pustoszeje —
Morze swym szumem, krzykiem mew,
Prastare opowiada dzieje...

Jak morza król — Neptun stary,
Z berłem — trójzębem — w zielonej dłoni
Zamienia w ryby dzielnych śmiałków
Co mącą spokój morskich toni...

Czasem — jak człowiek — morze się gniewa,
Potrząsa białą, spienioną grzywą
I z rykiem fal ciska na brzeg
Bursztyny — żywicę wód prawdziwą...

Jednak się szybko uspokaja —
Ucisza się, cofa swe fale —
I znów spokojnie, zblękitniałe,
Wygląda dumnie i wspaniale...

E. LORENC

Morze



Eugenia Kobylińska



(58)

— Po co? Z wdzięczności — oznajmił z pewnym zdumieniem Zynik. — A jakże ty chcesz? Kto mnie pomógł, każdy mówił: „tylko ucz się dobrze”. — Żeby złe uczył się, albo czego nie zrobił, to mnie tak na sercu byłoby, jakbym co ukradł.

No i gadaj z nim. Sliwka rozumiał, że ten chłopak zasługuje na szacunek, ale przecież nie mógł łączyć na wagary albo na niedozwolone filmy z takim „katechizmem chodzącym”. Coraz częściej chłopcy szepotali: „Nie mówić Zynikowi, wyspie nas, cholera”. — Toteż on z musu przestawał z Karafką, mimo, że ten starszy od niego chorowity wyrostek raził go znowu pesymizmem, niechęcią do całego świata oraz zazdrością o względy wychowawcy.

Obaj stracili teraz z oczu Madagaskar i zostali uprzedzeni, że chłopcy obdadzą ich ze skóry, o ile oni z wrodzoną sobie głupotą rozpuszczą jezory przed wychowawcą.

— Słuchaj chłopcze — o nic ciebie pytać nie będę. Ja sam wiem, że klasa knuje niebezpieczne zamiary. Ale uważaj. Są w klasie bardzo mili chłopcy, chociażby Kowalecki, Janikowie, Weltowski, Klimeński i ci nasi najmłodsi Budrysi. Może spróbowałbyś zainteresować ich czymś innym? Już czas, żebyś zaczął sam zdobywać sobie przyjaciół, a nie czekać, zanim do ciebie przyjdą. Pomyśl i potem sobie w tej sprawie pomówimy. Potrzeba mi twojej pomocy.

Zynik był olśniony. On, ten wielki człowiek, wspaniały nauczyciel, istota wprost nadprzyrodzona, potrzebował pomocy marnego Zynika, którego nie lubiła cała klasa. Poczul w sobie zdwojone siły i nagły przypływ energii. Chciał już bieć coś zrobić, tylko nie wiedział jeszcze co. Jednocześnie gryzł się, że wychowawca nie wymienił Sliwki w rzędzie tych miłych chłopców. A przecież Sliwka na pewno dobre miał serce i chciał jak najlepiej, tylko bardzo lubił wszelki zamęt i zamieszanie i nie znosił dnia powszedniego. A Zynik sobie myślał, że dla niego osobiście niedziela to dzień (poza porankiem) najbardziej nudny i ciężki z całego tygodnia. No tak. Sliwka na pewno zacne miał serce, ale kogo Zynik bał się naprawdę — to Wojeckiego. Właśnie ten chłopiec jakby nie miał charakteru, a tylko był miotany przez sprzeczne wichry swoich chęci — niechęci — ambicji i zawiści. Niewątpliwie zdolności, które wyczuwał w sobie, uczyniły go zarozumiałcem i arogantem, nie znoszącym krytyki, zawsze dla niego jakby niespodziewanie bolesnej. Wojecki ciągle chciał być podziwianym i po ten podziw udawał się do koleżanek. Hm, koleżanki.

— Ależ one głupie — mawiał nieprzejednany Lolek. — Ciągłe ściskają się, całują się i wykrzykują różne bzdury w rodzaju: ach, jaki on cudny! Jaki uroczy! Jak on na mnie spojrzal! a potem pędzą do kogoś po „auto-...

graf. A właśnie Stach Wojecki chętnie słuchałby takich rzeczy o sobie. Już jedna z Konopniczanek, mała Adamsówna, wywęszyła Antarktydę i Madagaskar z jego inicjatywami. Podbiegła więc do Wojeckiego na ulicy i krzyczy:

— Ja wszystko wiem. Boże! jaki pan jest wspaniały. Pan zostanie na pewno ministrem.

Wojecki wyprostował się i spojrzał bardzo łaskawie na smarkatą. Co prawda smarkata uczyła się już w drugiej klasie, mimo że była o dwa lata młodsza od pierwszoklasyisty Wojeckiego. Niestety smarkata była nie bardzo ładna. Miała za szeroki nos, za grube usta, a uczesanie jej nie zalecało się taką wdzięczną powiewnością i połyskującą jedwabistością nieziemskiej wprost fryzury Zuli. Ale Wojecki podał jej rękę i łaskawie przemówił do niej kilka słów.

— Brzydka, to brzydka, ale znać w niej inteligencję — zdecydował i zaliczył ją do grona „wtajemniczonych”. Nie ma to jak kobieta, jeżeli chodzi o roztaczanie atmosfery uwielbienia. Na palcach taka będzie stapała koło ciebie i mówiła rozmodlonym szeptem, a zamieni się w cymbał grzmiący i w pużon donośny, gdy będzie chodziło o rozszerzenie twej sławy.

Wojecki potrzebował atmosfery uwielbienia, ciągle chciał coś znaczyć, dobrze wyglądając i być popularnym. Wstydził się swego pochodzenia i ojca rzemieślnika. Pragnął sławy. Zupełnie nie rozumiał ani wartości pracy ani słodyczy pełnienia obowiązków. On wszystko pragnąłby zdobyć od razu, dlatego dotychczas nie miał nic. Madagaskar był jego pierwszą wielką zdobyczą i trzymał się go wprost kurczowo. Teraz właśnie Lodzia Adamsówna razem z wtajemniczonymi koleżankami z IIa robiły sztandar jedwabny



Rozmowy z Czytelnikami

List, który nadesłał do Redakcji p. Ireneusz K. z województwa bydgoskiego jest jeszcze jednym dowodem, że czasopismo nasze dobrze apostołuje na rzecz Kościoła ojczyścigo. Czytelnik ten pisze bowiem między innymi:

„Dzięki lekturze tygodnika katolickiego „Rodzina”, od jakiegoś czasu zacząłem interesować się Kościołem polskokatolickim. Nasunęły mi się jednak pewne wątpliwości. Dlatego byłbym niezmiernie wdzięczny za wyjaśnienie, jak w waszym Kościele przedstawia się sprawa sakramentów świętych? Szczególnie chciałbym dowiedzieć się, jak wyglądają u Was obrzędy chrztu i małżeństwa? Tak, jak w Kościele rzymskokatolickim, czy też może inaczej?...

Chętnie też nawiązałbym kontakt z jakąś parafią polskokatolicką.

licką. Uważam bowiem, że przez uczestnictwo w nabożeństwach łatwiej poznam zasady i liturgię Kościoła polskokatolickiego. Wiadomo mi z lektury „Rodziny”, że macie parafie w Poznaniu oraz w Gdyni i w Gdańsku. Mieszkam około 30 km od Grudziądza, gdzie również macie parafię. Ale to bardzo daleko. Proszę o informację, gdzie najbliższą Grudziądza znajduje się parafia waszego Kościoła?”

Szanowny Panie Ireneuszu! Kościół nasz — jak wskazuje jego nazwa — jest Kościołem katolickim. Stąd też nie tylko uznajemy katolickie zasady wiary i moralności, ale również posiadamy katolickie sakramenty święte. Są nimi: chrzest, bierzmowanie, Eucharystia, pokuta, ostatnie namaszczenie, kapłaństwo i małżeństwo. Przyjmujemy też, że one właśnie są źródłami łaski, którą przez mękę i śmierć wysłużył ludziom Syn Boży, Jezus Chrystus.

Obrzędy sakramentów świętych w naszym Kościele nie różnią się w zasadzie od obrzędów rzymskokatolickich. Tak więc ceremonia chrztu — oprócz modlitw wstępnych — zawiera: obietnice chrzcielne, wyznanie wiary, właściwy obrzęd chrztu (polanie wodą i wymówienie formuły chrztu) oraz namaszczenie olejami świętymi. Natomiast w liturgii małżeństwa wymienić należy: wyrażenie zgody przez narzeczonych na zawarcie związku małżeńskiego (jest to istotny moment sakramentu małżeństwa), błogosławieństwo i nałożenie obrączek oraz końcowe błogosławieństwo dla nowożeńców.

Najbliższą Pana miejsca zamieszkania jest parafia polskokatolicka pod wezwaniem Imienia Jezus w Grudziądzu, przy ul. Pułaskiego 3/5. Tam też radzę

udać się w którąś niedzielę w godzinach przedpołudniowych. Wówczas bowiem w parafiach naszych odprawiane są nabożeństwa. Po Mszy św. na pewno będzie Pan mógł porozmawiać z księdzem proboszczem, który chętnie udzieli dalszych informacji na temat naszego Kościoła.

*

Zwrócił się również do nas p. Leon B. z Płocka, pisząc: „Rodzice moi wszczepili mi zasady wiary i wychowali mnie po katolicku. Jednak podczas pobytu poza rodziną nie potrafiłem oprzeć się alkoholowi, który doprowadził mnie na dno upadku moralnego. Utraciłem więc ochotę do życia... Rodzice płakali nad mną i modlili się o moje nawrócenie. Wreszcie zrozumiałem moje błędy i postanowiłem zejść z drogi zła. Sięgnąłem po Biblię i pod wpływem tej lektury zmieniłem życie...

Chętnie czytam prasę religijną, w tym również „Rodzinę”. Bardzo mi się podobają zamieszczone na jej łamach artykuły, pisane nie tylko pięknym stylem, ale i w łatwej do zrozumienia formie. Jakby to było dobrze, gdyby wszyscy chrześcijanie stworzyli jedną owarznię, jak chciał nasz Zbawiciel, Jezus Chrystus”.

Szanowny Panie Leonie! Bardzo wiele mogą u Boga uprosić modlitwy i łzy rodziców. Klasycznym tego przykładem jest chociażby św. Monika (matka św. Augustyna), która przez wiele lat modliła się ze łzami o nawrócenie swojego syna. Pewien zaś biskup — pocieszając strapioną matkę — powiedział jej: „Nie może to być, aby syn tyłu leż miał zginać” (Wyznania 3,12). I rzeczywiście Augustyn nawrócił się. Zapewne i w Pana przypadku łaska powrotu do Boga wyprosiła modlitwa rodziców.

Lektura Pisma Świętego bardzo często jest początkiem nawrócenia. I tak na przykład — wspomniany już — św. Augustyn nawrócił się, przeczytawszy wspomnienie Apostoła, zawarte w słowach: „Postępujmy przystojnie jak za dnia, nie w biesiadach i pijaństwie, nie w rozpuściach i rozwiązłości” (Rz 13,13). Tak właśnie być powinno. Bowiemy według nauki objawionej, „całe Pismo przez Boga jest natchnione i pożyteczne do nauki, do wykrywania błędów, do poprawy, do wychowania w sprawiedliwości, aby człowiek Boży był doskonały, do wszelkiego dobrego dzieła przygotowany” (2 Tym 3,16-17).

Dziękuję Panu za słowa uznania pod adresem naszego tygodnika. Równocześnie komunikuję, że Kościół polskokatolicki pragnie zjednoczenia chrześcijaństwa. Świadczy o tym najlepiej jego zaangażowanie w działalność ekumeniczną. O zjednoczenie gorąco się modlimy, nad tym obradują — wspólnie z przedstawicielami innych Kościołów chrześcijańskich — również nasi teologowie. Jednak na przestrzeni wieków pomiędzy poszczególnymi Kościołami powstały zbyt wielkie różnice oraz zbyt silne uprzedzenia, by można je było usunąć w ciągu kilku dziesięcioleci. Na pewno jednak nadejdzie czas, kiedy nastanie „jedna owczarnia”, której sam Chrystus będzie najwyższym Pasterzem. Stanie się to jednak wtedy, gdy Bóg zechce.

Korzystając z okazji łączę dla Pana oraz wszystkich Czytelników serdeczne pozdrowienia, zachęcając równocześnie do gorącej modlitwy o możliwe rychłe zjednoczenie świata chrześcijańskiego.

DUSZPASTERZ

PORADY

Pielęgnacja nóg jest dla piechurów sprawą zasadniczej wagi. Niedopasowane lub źle zakonserwowane obuwie, zbyt cienkie, brudne albo tylko niedbale włożone skarpety mogą wywołać otarcie i odparzenie stóp lub tworzenie się odcisków na palcach i podeszwach. Najmniejsze uszkodzenie skóry powinno być natychmiast opatrzone, aby nie wdała się infekcja ropna. Ranę należy zdezynfekować i założyć prestoplast. Pęcherz przetrzeć spirytusem i nałożyć opatrunek z jałowej gazy — wówczas problem zlikwiduje się w ciągu kilku dni. Chcąc natomiast uniknąć takich kłopotów, warto przed włożeniem skarpet, najlepiej wlewnianych, posypać stopy talkiem, pudrując obficie skórę między palcami. Należy też zapobiegać

nadmierzemu poceniu się stóp, bo rozkład potu przyspiesza rozmiękczenie naskórki, co z kolei ułatwia otarcia. W czasie wycieczki trzeba korzystać z każdej okazji, aby choć na kilka minut zdjąć buty, przewietrzyć lub nawet zmienić skarpety, a także, jeśli zdarza się sposobność, umyć, a potem wysuszyć i popudrować stopy. Na noc, po umyciu, należy natrzeć je „Dermosanem” lub innym kremem. Te proste zabiegi na ogół wystarczają.

Uporczywą potliwość nóg zwalczą się odpowiednimi środkami farmaceutycznymi. Podczas odpoczynków, które zarządzamy na dłuższej wycieczce, trzeba usiąść albo położyć się (podkładając perlerynę albo nieprzemakalną wia-

wakacyjne... dla piechurów

trówkę pod plecy), umieszczając nogi dla lepszego relaksu wyżej niż resztę tułowia. Wszelkie zmiany fizjologiczne występujące pod wpływem marszu znikają po pewnym czasie. Okres regeneracji trwa od 30 min. do 8 godzin. Jeżeli po tym czasie nadal czujemy się zmęczeni, a mięśnie bolą od nadmiaru kwasu mlekowego, to znaczy, że tempo marszu było zbyt szybkie, obciążenie za duże lub organizm źle przygotowany do takiego wysiłku. W każdym razie następnego dnia powinien być ulgowy.

Szybkość marszu zależy nie tylko od kondycji, ale również od wagi plecaka, pogody, pory dnia i rodzaju drogi. Tempo marszu w terenie płaskim, nie wywołujące szkodliwego dla zdro-

wia zmęczenia, wynosi 110—120 kroków na minutę, przy przeciętnej długości kroku 70—80 cm, co daje szybkość 4,3—4,8 km na godz.

Rytm marszu powinien być jednakowy. Każde zwiększenie szybkości pociąga za sobą zwiększenie strat energetycznych, bo turysta zmienia „automatyczny”, nie męczący krok w inny rytm, do którego nie jest przyzwyczajony. Na wycieczce grupowej trzeba pamiętać, aby osoby o niższym wzroście ustawić na czole grupy, by one nadawały tempo, a nie wydłużały nienaturalnie kroku, aby nie pozostawać w tyle. Wyższym osobom łatwiej jest przystosować się do takiego marszu.

Szerokiej drogi!

Aktor to widzi i nie pozwala jej przyjść do słowa. Znowu ją przekonywa, że to przyjęte, że „wypada”, mówi o równouprawnieniu, dwudziestym wieku, osobistej wolności...

Terenia daje się nakłonić. Ostatecznie nic w tym złego nie widzi, wie od koleżanek, że również chodzą do kawiarni, wreszcie tak jej ogromnie miła obecność pana Ludka. Przy tym tak wielką prośbę czyta mu z oczu!

Wchodzą i zajmują gabinet, bo tam ją aktor wprost wprowadził. Zamówiono herbatę, ciastka i likier.

Terenia wzbrania się, lecz pije. Kosztuje ten trunek pierwszy raz w życiu. Dyskretne światło lampek ubranych w różowe abażury działa na nią marząco. Do tego kino... sam na sam z panem Ludkiem w tej małej i wygodnej kłateczce... Jakże to wszystko na nią działa! Weszła w świat nowy, nie znany sobie z bliska, tylko przez okno widywany, imaginowany.

Co chwila pod wpływem prośby Ludka macza usta w barwnym, lepkiem napoju. Czuje w sobie coraz to większy, przytłaczający, jest jej coraz weselej, jaśniej. Świat się wydaje piękny, nęcący, jej własny.

Aktor ją tuli, całuje ręce ustawicznie, to obejmuje najpięściwiej, by znów całować włosy, oczy i usta.

Odurza ją szeptami, klęka przed nią niby na scenie, kładzie swą głowę na jej kolanach, patrzy jej w oczy taką słodczą głębią żreń, że Terenia zapada w nią jakby w toń szczęścia. Już sama dłońmi pieści mu głowę, sama całuje. Upojny bezwład ją nachodzi, taki, który oślepią. Wszystkimi tonami gra w niej miłość — kocha nad życie i czuje się kochaną jak jeszcze nikt!

Aktor gra swoją rolę jak niedościgniony mistrz. Wrodzony talent rozporządza bogactwem póź i szepców, czarownych spojrzeń, atlasowych przymileń. Ról takich uwodzących zna nieprzebrane mnóstwo, jest w swym żywiole. O tyle teraz jest szczerzą jego gra i namiętniejszą, że nie zdobywa jak na scenie obojętnej aktorki, cudzej kochanki albo

żony, ale zaciąga się na prawdziwą ofiarę, na kwiat najrzadszy, który go blaskiem swym oślepił i oczarował do szaleństwa.

Ten demon sceny nie zdaje sobie sprawy, że igra z sercem ludzkim, uczuciem i życiem. Ze dłońmi, które w gest przysięgi się składają, może grób kopie. Ze blaskiem żreń wyotchłania czełuś rozpaczy. Ze każdy jego pocałunek jest ciosem, który zabija życie piędy po piędy. Ze każda kropla wysączonej rozkoszy zrodzi morze trucizny... Ze jedną chwilą czaru mierzy czad bólu całego życia...

Nie, on o tym nie myśli, lecz się upaja chwilą.

— O ty, moje marzenie — śpiewa w jej oczy muzycznym szeptem — jesteś mi rajem, życiem i duszą! Jesteś mi wszystkim, czego pragnę. Jesteś mi stokroć droższa od sławy — bóstwo ty moje! Dla ciebie jednej żyć pragnę — jedyna! Wszystko za ciebie oddam, wszystkiego się wyrzeknę — dla ciebie! A ty... słuchaj! Czy również kochasz z taką mocą, do ostatecznych granic, całym swym sercem, ciałem, pragnieniem? Czy jesteś w stanie oprzeć się mojej prośbie, choćby ta była wprost szaleńcza? Czy jesteś w gotowości poświęcić dla mnie całą siebie bez chwili wahania, radośnie, jakbyś spełniała swoje własne życzenie... Powiedz, czy jesteś? Bo jeśli jest inaczej — ja! mówić jeszcze ciszej — to odejdę od ciebie, zejść ci z drogi, zawiedziony, że nie znalazłem takiej istoty, o jaką się modliłem, jakiej dotąd szukałem... Odejdę! — i wstaje równocześnie, jakby naprawdę odejść zamierzał. Gra rolę finezyjnie, czartowsko. Magnetyzuje ją oczyma, zniewala kunsztem teatralnego narkotyku.

— Powiedz, powiedz, Tereniu!...

Dziewczęca postać podrywa się z kanapy i rzuca się na szyję jedynej, kochanej swej ostoi. Przemaga w sobie lęk, coś ostrzegawczego. Widmem staje jej w oczach własny los, straszna sierocość, a więc ucieka przed nim i tuli się w opiekuńcze ramiona.

— Powiedz... ach, powiedz... — pyta się jeszcze aktor, choć już widzi odpowiedź.

— Kocham cię całą swoją istotą... Twojam!...

Rozkosz triumfu rozpięra pierś aktora. Gra nie zawiodła.

Siadają znowu. Oczy aktora błyszczą dziko — gra rolę demonicznie.

— Więc moja? Moja?!

Słyszysz omdlały szept:

— Twoja...

Przegrał trzy akty, zostaje jeszcze jeden. Lecz ten na jutro pozostawia.

Naraz z szatana zamienia się w anioła. Staje się przyzwoity. Sadza ją obok siebie, gładzi po włosach, rozpalonej twarzycze, kornie całuje ręce. Potem zgina przed nią kolano, mówi o niezmiernym szczęściu, znowu się lasi, poprawia loki i wraca jej przytomność.

Spogląda na zegarek.

— Kwiatuśku śliczny, już czas na ciebie... dochodzi w pół do siódmej. Ach, jak mi żal, lecz wiem, że musisz odejść.

Terenia chyli głowę na jego ramię.

— Jakiś ty dobry, że pamiętasz... Ja już o wszystkim zapomniałam...

I zdaje sobie sprawę, że on szlachetny, że nie skorzystał z jej bezszy.

— Widzisz, taka jest miłość... i ja tak kocham ciebie!...

— Jedyny!

— I tak na zawsze kochać będę...

Terenia daje mu usta w odpowiedzi.

Aktor zapłacił. Wyszli z lokalu.

W drodze poczyna nową pokusę, oto, by jutro z powodu święta przyszła do niego po szkolnym nabożeństwie. Na rynku, o dziedziawie, będzie jej oczekiwał.

cdn

POZIOMO: A-1) wśród potraw na wielkanocnym stole, B-8) zwierzyniec niebieski, C-1) naśladownictwo, D-8) barbarzyńca, E-1) solenizant z 7 sierpnia, F-7) słynny angielski aktor teatralny i filmowy, H-1) zespół pracowników, I-7) siedziba „Mazowsza”, K-1) jeden z bohaterów „Lalki”, L-6) żona Piasta, M-1) uchwalana jest przez sejm, N-6) orszak podróży na pustyni.

PIONOWO: 1-A) surowiec na powidła, 1-H) kuzyn łasicy, 3-A) A.N. 4-K) tytuł cyklicznego programu w TV, 5-A) pies myśliwski, 5-G) na głowie strażaka, 6-K) sąsiad Iranu, 7-E) wylansował piosenkę „Takiemu to dobrze”, 8-A) kojarzy się z miską soczewicy, 9-D) „bycze” bóstwo staroegipskie, 9-I) indyjska złotówka, 10-A) tytułowy bohater powieści Londona, 11-F) stan odosobnienia, 13-A) ryba akwariowa, 13-H) turecka metropolia.

Po rozwiązaniu odczytać szyfr (przysłowie ludowe):

(G-5, M-3, B-9), (N-8, I-10, H-1, M-9) (C-4, K-3, B-3) (N-4, L-10, A-4) (D-11, A-6, D-5, I-1, H-1, C-1).

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 28”. Do rozlosowania: nagrody książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki nr 17

„Wilk nie pasa owiec” (ludowe).

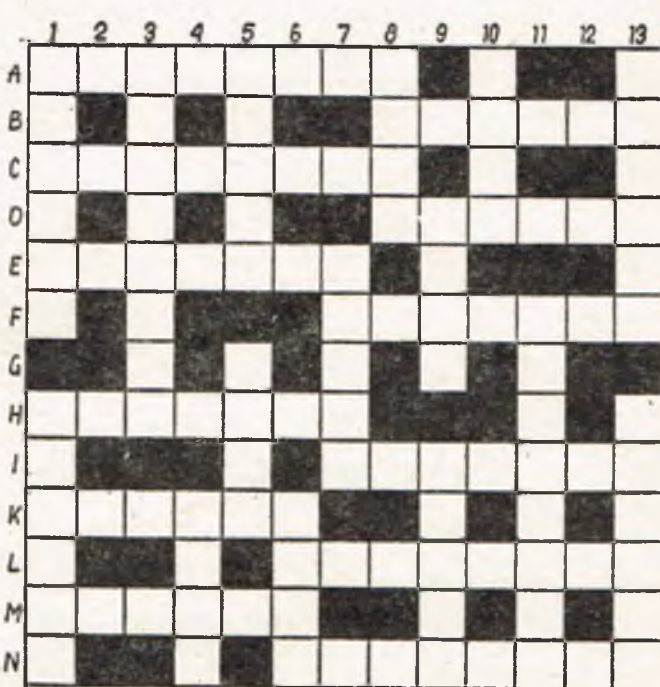
POZIOMO: Internat, roleta, awantura, finisz, adiunkt, owiewka, pianino, tornado, kierat, ewolucja, impuls, Telimena.

PIONOWO: imamat, piknik, trapista, raut, ruten, figa, test, towot, traf, ibis, rolki, klon, wsparcie, kaczka, lokata.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 17 nagrody wylosowali: Hanna Rutkowska z Puław i Józef Bartnik ze Świdnicy.

Nagrody przesyłamy pocztą.

KRZYŻÓWKI nr 28



rodzina
TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spoleczne Towarzystwo Polskich Katolików, Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzejewskiego. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. Czardasza 16/18, 02-168 Warszawa. Telefon redakcji: 46-72-74; administracji: 46-72-74. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Cena prenumeraty: kwartalnie 650 zł, półrocznie 1300 zł, rocznie 2600 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych instytucji i zakładów pracy — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Tawarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1650-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy; Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — od dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; — do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Materiałów nie zamówianych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówianych. Druk PZGRAF. Smolna 10/12. Nakład 15 000 Zam. 339 A-37.



PAWEŁ STĄSKO

Powieść - romans z 1929 r.

Jej wiosna

Miłość i smutek wciąż idą w parze...

(5)

— Zdradzisz go, porzucisz?

Coś głos jej drży.

— Ha! ha! ha! to przecież takie jasne! Mam w nudach trwać, kiedy nowość pociąga? I miłość można zmieniać tak, jak balowe rękawiczki...

Dzwonek przerywa tę szatańską lekcję życia.

Spieszą do klasy. Terenia już nie szuka zapytań. Słoneczny świat w jej duszy nakrywa jakąś chmura.

— A więc to taki świat? Miłość nie taką świętą, obłoczną, promienistą? A może taką ją już stworzono i taką musi zostać?

Myśli się jej kotłują, mierzwią. Jedno tylko wie pewnie: ona by Ludka nie rzuciła...

A on? I on by jej nie rzucił, nie miałby serca...

Jednak z jej duszy nie znika chmura...

O zwykłej parze znów się z Ludkiem spotyka. Już widok jego płoszy jej czarne myśli. Patrząc na jego twarz i w oczy, doznaje ulgi i radosnej lekkości.

Idą w kierunku kursów i rozmawiają tak jak zawsze wesoło.

W oczach aktora czaj się jakiś zamiar. Wreszcie poczyna mówić.

— Mam do panny Tereni ogromną prośbę...

— Proszę...

— Czy nie odmówi?

— Nie! — rzuca bez wahania.

— Oh, kochana królowo! — szepce uradowany. — Otóż mam plan: chodźmy dzisiaj do kina...

— Terenia szerzej otwiera oczy.

— Kiedy?

— Teraz, o czwartej. Jest świetny program.

— Wielkie rzeczy, gdy pani raz nie pójdzie... I tak gra pani lepiej, niż sam profesor! Nic się przez to nie stanie... A ja tak pragnę, ażeby pani ze mną poszła... Zawsze tylko przez chwilę jesteśmy razem... Bądźmy choć dzisiaj ze sobą dłużej... Panno Tereniu, dobrze? Przecież mi pani nie odmówi... Wszak nam tak bosko razem...

Tak słodko prosi, więc jakże mu odmówić! Do tego nie była jeszcze w kinie, więc wabi ją ciekawość. Wie coś o tym z wielkich rozlepionych afiszów, z różnych obrazów i z opowiadań. Zwycięza ją pokusa jedna i druga.

— Proszę pana, lecz ja nie mam pieniędzy! — odzywa się ze wstydem.

Towarzysz parska śmiechem. Potem mówi, i mówi, i wiąże słowa ogniwkami pieśzcotliwych wyrazów.

A więc idą do kina. Kryją się w głębi łóż. Zajadają ciastka, pomadki i tulą się do

siebie. Nareszcie światła gasną. Snuje się film.

Terenia wpatruje się ciekawie w piękne, żywe obrazy. Najpierw upajają ją zdjęcia z natury egzotycznego kraju, potem para kochanków. Potem jedno i drugie... Jest w innym świecie... Współczuje z bohaterem, który walczy o umiłowaną kobietę i modli się w skrytości, aby zwyciężył.

Jest jej tak dobrze, jak by tam kiedyś była wśród palm, kwiatów i morza.

Ludek otacza ją ramieniem i przyciska do siebie. Jest ciemno, nikt nie widzi. Oczy wszystkich patrzą na ekran.

Terenię dreszcz przechodzi. Jego jednego ma na świecie, on jeden ją miłuje, więc tłum w sobie ogień wstydu i tylko drży z wrażeń.

Obrazy filmu mkną.

Nieprawdopodobne wprost zdarzenia, walka, heroizm i wreszcie wszystko uwiecznia zwycięska miłość, uścisk zawrotny, pocałunki... Koniec bajki srebrnego ekranu.

Terenia z zapartym tchem śledziła powieść filmu, przeżywając ją w każdej cząstce. Cieszy się, że zwyciężyła wielka miłość. Już wie, że tak ogromna musi odnieść zwycięstwo i jest dozwolona. Chmura w jej duszy się rozwiata, tym szybciej, że jest przy Ludku. Jakże mu teraz wdzięczna, że ją tu ze sobą przyprowadził!

Wychodzą na ulicę. Tereni się wydaje, że przeżyła ogromnie długi okres czasu i że już pewnie bardzo późno. Ledwie uwierzyć mogła, że na zegarku pana Ludka dopiero w pół do szóstej.

— Panno Tereniu, jeszcze godzina nasza... Niechże przez tę godzinę jeszcze się tobą uradowuję, upoję... ach, bądźże jeszcze ze mną, ty — złota!... Akurat teraz pora, wstąpmy na herbatę... Wszak mi panna Terenia nie odmówi swojego towarzystwa?

Panna Terenia zenuje się, nie wie, co zrobić. Odczuwa niewłaściwość propozycji, lęk jakiś instynktowny.

Truskawki należą do owoców powszechnie lubianych. Spożywamy je na surowo i w postaci przetworzonej — kompotów, galaretek, a także jako smakowity dodatek do ciast. Te ostatnie zwłaszcza mogą stanowić doskonały podwieczorek podany w cieniu rozłożystego drzewa — na przykład na działce. W tym właśnie celu podajemy dziś kilka „letnich” przepisów na słoneczne (mamy nadzieję dni) tegorocznego lata.

Truskawki z serkiem homogenizowanym. 1/2 kg truskawek, 1 serek homogenizowany, cukier do smaku, ewentualnie cukier waniliowy, gdy serek jest „zwykły”.

Oplukane truskawki pozostawiamy na chwilę, by ociekły. Usuwamy szypułki, a następnie układamy w kompotierkach. Serek mieszamy z cukrem po czym wykładamy na truskawki i dekorujemy innymi owocami.

Truskawki w galaretkę z zsiadłego mleka 1 szklanka zsiadłego mleka, 30—40 dkg truskawek lub poziomek, 1 łyżka żelatyny, cukier do smaku, cukier waniliowy.

Żelatynę namoczyć (rozpuścić) w wodzie. Gdy napęcznieje dodać do zsiadłego mleka, roz mieszać z cukrem i cukrem waniliowym. Dobrze umyte owoce wyłożyć na salaterkę i zalać galaretką mleczną — odstawić do ostygnięcia. Udekorować owocami.

Mus z truskawek (poziomek). 1/2 kg truskawek, 3—4 białka, 1 łyżka żelatyny w proszku.



Kącik kulinarny

Z truskawek

Truskawki dokładnie umyć, starannie oczyścić i osączyć na sicie. Najładniejsze odłożyć do przybrania musu, pozostałe — przetrzeć lub zmiksować. Białka ubić na sztywną pianę, dodając stopniowo cukier oraz rozpuszczoną w niewielkiej ilości wody żelatynę. Mieszając składniki dodajemy jednocześnie stopniowo zmiksowane truskawki. Mus przekładamy do kompotierek i dekorujemy owocami. Przed podaniem oziębiamy. Ten rodzaj musu (ze względu na nietrwałość składników) może być spożywany wyłącznie w dniu przyrządzenia.

Placek z truskawkami. 2 szklanki mąki, 15 dag masła, 1/2 szklanki cukru, 3 żółtka, 1 łyżka gęstej śmietany (kwaśnej), 1 łyżka soku z cytryny, utarta skórka z cytryny.

Z podanych składników zagnieść ciasto. Cienką warstwą wyłożyć nim blachę, wylepiając boki formy. Lekko zapiec. Gdy ciasto będzie upieczone, wyłożyć osączone truskawki, po czym zalać wszystko galaretką owocową — najlepiej z truskawek. Podawać z dodatkiem bitej śmietany.

Babeczki z truskawkami. Ciasto: 2 szklanki mąki, 20 dag masła, 1/2 szklanki cukru, 2 łyżki kwaśnej śmietany, 1/2 łyżeczki proszku do pieczenia, utarta skórka z cytryny. **Nadzienie:** 1/2 kg truskawek, 1 szklanka cukru, 1 łyżka żelatyny, 1 szklanka czerwonych porzeczek.

Do mąki dodać żółtka, cukier, śmietanę, proszek i skórki z cytryny. Wyrobione ciasto włożyć na godzinę do lodówki, aby skruszało. Następnie rozwałkować, uformować niewielkie kulki po czym po uprzednim natłuszczeniu foremek wylepić je dokładnie ciastem. Wypełnione foremki ustawić na większej blasze i zapiec w piekarniku na złocisty kolor.

W międzyczasie przygotować nadzienie: porzeczki rozgnieść, dodać cukier i doprowadzić do wrzenia, precedzić, dodać żelatynę rozpuszczoną w letniej wodzie. Dobrze wszystko wymieszać, aby nie zostawić grudek żelatyny. Umyte i osuszone truskawki ułożyć na foremkach, a następnie zalać zimną, tężejącą galaretką z porzeczek.

Mamy nadzieję, że tak przygotowane smakołyki zaspokoją apetyt niejednego smakosza. Smacznego życzy zatem —

Bronisława